MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 45. WARSZAWA, 16 PAŹDZIERNIKA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

KRYZYS ZAUFANIA

WOJNA światowa nie tylko zburzyła system przedwojennej równowagi sił politycznych, nie tylko powaliła stare państwa i powołała do życia nowe, lecz zarazem zachwiała wiarę w nienaruszalność zobowiązań traktatowych, wiarę w wartość prawną i moc obowiązującą norm zwyczajowych.

Konferencja pokojowa w Paryżu stanęła nie tylko przed kompleksem problemów politycznych, lecz zarazem uświadomiła sobie konieczność odbudowy zaufania narodów w istnienie międzynarodowego porządku prawnego.

I o tę właśnie kwestję odbudowy zaufania, toczy się gra dyplomatyczna, dla niej odbywają się konferencje, powstają niekończące się szeregi traktatów, protokółów, oświadczeń i paktów doby powojennej. Nierealność koncepcyj Wilsona, zasadnicza rozbieżność proklamowanych zasad Ligi Narodów i dążeń jej faktycznych twórców zaciężyły złowrogo nad polityczną rzeczywistością. Mglista ideologja Ligi miała zastąpić realną współpracę narodów, opartą o ich żywotne dążenia i wspólność interesów. Traktaty o formułach i postanowieniach nieokreślonych postawiono w miejsce porozumień regjonalnych. Hyperprodukcja tych traktatów, nie mogących doczekać się ratyfikacji, wywołuje kryzys zaufania w moc twórczą obszernych konferencyj międzynarodowych. Podobny kryzys zaufania, jaki żywią społeczeństwa w stosunku do morza ustaw, rozporządzeń i dekretów wewnętrzno-państwowych, mających leczyć chorą rzeczywistość. Kryzys zaufania w możność organizowania życia narodów w skali wszechświatowej i w oparciu o blade hasła internacjonalizmu. Zawodzą formuły ogólne i papierowe porozumienia.

Niewątpliwie istnieje wspólność kulturalna i ekonomiczna świata, nie należy jednak zapominać, iż wspólność ta może być realizowana tylko pośrednio, przez ściślejsze i szczere, — przez konieczności życiowe poparte — porozumienia państw najbliżej siebie stojących, czy uzupełniających się pod względem politycznym, gospodarczym i kulturalnym. Stosunek jednostki do państwa nie wyczerpuje się na płaszczyźnie prawno - konstytucyjnej: obywatela do władzy i jej najwyższych organów. Stosunek jednostki do zbiorowości koncentruje się na związkach pośrednich: rodzinnych, korporacyj zawodowych, politycznych, samorządowych, kulturalnych, naukowych. I tylko przez istnienie tych związków pośrednich łagodzi się możliwość konfliktu i przeciwstawność interesów jednostki i kolektywu. Państwo, etatyzujące te związki pośrednie, niszczy organiczną więź jednostki i zbiorowości, zastępuje techniką treść istotną stosunku obywatela do państwa — jednostki do narodu.

Podobnie jak tutaj, i w stosunkach międzynarodowych niepodobna odrzucić związków partykularnych państw i ich porozumień, opartych o potrzeby życia. W dziedzinie politycznej, niepodobna przeczyć naturalnej wspólności interesów państw jednych i przeciwstawności interesów państw innych. W dziedzinie ekonomicznej, niepodobna nie uznać konieczności bliższych porozumień między państwami, uzupełniającemi się pod względem swej struktury gospodarczej (np. państwa rolnicze i uprzemysłowione), czy pod względem położenia geogra-

ficznego (Polska, Czechosłowacja i port w Gdyni). W dziedzinie kulturalnej niepodobna nie oprzeć struktury porządku międzynarodowego na ściślejszych węzłach, łączących poszczególne państwa (n. p. słowiańskie). Pomijanie tych więzi pośrednich u państw, należących do społeczności międzynarodowej, prowadzi do nierealnych konferencyj, bezużytecznych traktatów, wielu rozczarowań i nieporozumień.

Kryzys zaufania do Ligi Narodów, o którym oficjalnie słyszało się w przemówieniach na obecnej sesji Zgromadzenia, sięga głębiej, niżby to się pozornie wydawać mogło. Nie chodzi tu tylko o tę lub inną sprawę, o konflikt w Mandżurji, czy trudności w dziedzinie rozbrojenia, chodzi o rewizję ideologji Ligowej i bankructwo fałszywego internacjonalizmu. W dziedzinie politycznej chodzi o ukrócenie dążeń rewizjonistycznych Niemiec, ukrywanych pod pozorem „wielkich haseł pokoju". W dziedzinie ekonomicznej o oparcie produkcji i konsumpcji o realne rynki zbytu, a nie o system bezwartościowej, dezorganizującej życie gospodarcze klauzuli największego uprzywilejowania. W dziedzinie kulturalno narodowościowej o rewizję założeń i koncepcji traktatów mniejszościowych, zastąpienie traktatów ogólnych, będących narzędziem polityki, nie mającej nic wspólnego z uprawnionemi potrzebami t. zw. mniejszości, przez traktaty partykularne, zawarte między interesowanemi państwami. Chodzi więc o organizację międzynarodowego porządku prawnego w imię interesów poszczególnych narodów, a nie w imię interesu nieokreślonej społeczności międzypaństwowej czy ponadpaństwowej.

ZBIGNIEW WŁADA

ROLA MESJANIZMU ŻYDOWSKIEGO

„Właściwa wszystkim narodom wiara w swe pierworodztwo (mesjanizm) jest u żydów najbardziej rozwinięta... Z wyżyn swej tysiącletniej kultury patrzą oni w gruncie rzeczy na narody europejskie jak na barbarzyńców".
(senator Stanisław Kozicki w „Gazecie Warszawskiej" nr. 301)

POLEMIKA, która rozgorzała na łamach „Gazety Warszawskiej" i „Naszego Przeglądu" między sen. Kozickim a p. Natanem Szwalbem w sprawie polityki żydowskiej, jest wielce pouczająca. Żydzi usiłują dowieść, że nie istnieje jedna, ogólna, światowa polityka żydowska, że „ideologja syjonistyczna... opierała się... na niewzruszonej zasadzie lojalności żydów w stosunku do każdego państwa, którego są obywatelami", że nic ich nie skłania do irredenty i walki z narodami—gospodarzami ziem, na których żyją.

Rzecz jednak charakterystyczna: odpierając szczegółowo zarzuty sen. Kozickiego, żydzi pominęli zupełnem milczeniem ustęp, który cytujemy jako *motto* naszego artykułu. Nie podjęli polemiki na punkcie dążeń mesjanizmu żydowskiego. W niniejszym artykule pragniemy pomóc ich pamięci.

Cóż wiemy o mesjanizmie żydów, o ich oczekiwaniach przyjścia mesjasza? Naogół sądzi się, że są to stare wierzenia mistyczne,ma to być wiara ciemnych i zabobonnych ortodoksów z małego miasteczka.

Mniemanie to, zawsze błędne, gdyż wiara w mesjasza jest podstawowem założeniem religji żydowskiej, dziś staje się szczególnie szkodliwe wobec nowego, silnego rozbudzenia się ruchu mesjanicznego wśród oświeconego i wykształconego żydostwa.

Na słynnym wiosennym wiecu protestacyjnym żydowskim w Tow. Hygjenicznem, wymierzonym przeciwko antysemityzmowi, mówił dr. Gerszon Lewin [1]):

„Antysemityzm nie jest nowem zjawiskiem w historji żydowskiej. W każdem pokoleniu powstają nowi Hamani, którzy chcą zgładzić naród żydowski. Nasi chachani powiedzieli, że gdy przyjdzie Mesjasz, będą zniesione wszystkie święta, prócz Purimu, święta upadku Hamana, święta zwyciężenia wrogów żydów, a więc największego i najważniejszego ze wszystkich żydowskich świąt".

Cóż oznaczają te słowa?

Przypomnijmy sobie, że po upadku i powieszeniu antysemity Hamana (dzięki wpływom Estery, kochanki Ahaswera) — nastąpiła w Persji ogólna rzeź ludności rdzennej przez żydów. To oto święto rzezi uważa nie jakiś ciemny ortodoks, ale postępowy, światły dr. Lewin za największe święto żydowskie. Nowoczesnym antysemitom prorokuje dolę Hamanów i w gruncie rzeczy grozi rzezią. Czyż nie ujawnia się w tych słowach owa namiętna nienawiść do narodów nieżydowskich, o której mówią motywy wyroku sądu okręgowego wileńskiego w sprawie Wulfina? (I czyż nie potworne jest to, że takie słowa oklaskują obecni na wiecu liczni Polacy, z b. premjerem i ministrem oświaty prof. Ponikowskim na czele?).

Ale nie to jest najciekawsze. Szczególną uwagę musi wzbudzić fakt, że przedstawiciel postępowego żydostwa, syjonista dr. Lewin przeciwstawia realnemu zjawisku, jakiem jest rozwój ruchu antysemickiego wiarę w przyjście mesjasza. Zbadajmy przeto bliżej przepowiednie mesjanistyczne. Z wielu ich zacytujemy jedną, najpopularniejszą i oczywiście znaną dr. Lewinowi:

„Skoro naród żydowski odcierpi już dostatecznie na wygnaniu grzech przekroczenia Tory (Pisma Świętego), wówczas Bóg zlituje się z powrotem nad nim i uwolni go od wygnania („golusu"). Przedtem jednak Bóg wywrze zemstę na narodach świata (t. j. nieżydowskich). Stanie się to pod koniec szóstego tysiącolecia, licząc od stworzenia świata (obecnie mamy rok 5692). Żeby zaś zemsta mogła dotknąć wszystkie narody jednocześnie, wpłącze Bóg cały świat w powszechną wojnę światową, która doprowadzi wszystkie ludy do straszliwego zniszczenia. Gdy zaś świat dostatecznie już odcierpi za niesprawiedliwości, wyrządzane żydom, usłyszą wszyscy głos trąby (archanielskiej), zwiastującej Mesjasza... a boski prorok przyniesie światu

[1]) Cytujemy za „Momentem" nr. 120.

oznajmienie pokoju, żydom zaś zwiastowanie zbawienia. Wówczas zjawi się Mesjasz z rodu Dawida, który zgromadzi żydów z wszystkich krajów wygnania... Wówczas żydzi wrócą do Erec Israel (Palestyny); odbudują świątynię jerozolimską i przyjmą z powrotem przykazania Tory. Od tego czasu będzie Jehowa jedynym panem świata".

Zastanówmy się nad tym tekstem.

W całkowitem przeciwieństwie do religji chrześcijańskiej, żydzi pojmują mesjanizm swój politycznie. Choć rozproszenie (golus) jest wynikiem przewiny samych żydów, jednak odcierpią za to narody nieżydowskie. I jak odcierpią! Mściwa ręka Jehowy doprowadzi do straszliwego zniszczenia. Jest to niezbędne dla ostatecznego trjumfu żydostwa. Ono bowiem nie stawia sobie za cel jedynie powrotu do Erec Israel, ale wierzy niezłomnie, iż opanuje i obejmie władzę nad innemi narodami. Tylko tak można tłumaczyć słowa, iż Jehowa będzie jedynym panem świata. Wszelkie inne, bardziej duchowe przeczyłoby monoteistycznemu założeniu, bo Jedyny Bóg jest *ex definitione* panem świata od chwili jego powstania.

Potwierdzeniem naszej egzegezy są słowa wielkiego syjonisty, Aszera Ginsberga (1856—1927) wypowiedziane w przenikniętej Nietzsche'anizmem książce jego: „*Transvalutation of Values*":

„Naród Izraela przekształci wszystkie narody. Izrael nada idei dobra to znaczenie, jakie ono miało w swoim czasie. Dobro zastosuje się do Nadczłowieka, do Nadnarodu, który ma siły i potrafi rozwinąć i uzupełnić swoje życie i wolę tak, aby stać się panem świata, nie zwracając uwagi na to, coby to kosztowało masy istot i narodów niższych".

Należy te słowa mieć zawsze w pamięci, kiedy się spotyka ludzi, nie wierzących w mesjanizm żydowski.

Powstaje zapytanie, dlaczego dr. Gerszon Lewin uznał za stosowne właśnie teraz, gdy wskazaneby było nie drażnić wzburzonych społeczeństw aryjskich — rzucać w tłum na publicznym wiecu hasła mesjanistyczne?

Zdaje się, że odpowiedź znaleść można w kryzysie, który przeżywa żydostwo.

Załamanie się frontu wielkokapitalistycznego, zachwianie się lub bankructwo wielkich domów bankierskich, będących własnością i narzędziem żydów, zubożenie żydostwa amerykańskiego, podpory i ochrony żydów wschodnich, wreszcie rosnący antysemityzm — rzuciły zwątpienie w serca wyznawców Jehowy.

„Dla pokrzepienia serc" wskrzesza się przepowiednie mesjańskie. Przypomina się, iż wojna światowa, a po niej straszliwe zniszczenie ekonomiczne ma być nieuchronnym etapem do ostatecznego trjumfu, do zwycięstwa zemsty i nienawiści, do opanowania świata.

Przepowiednie mesjańskie mają się znowóż, nie po raz pierwszy, stać „Księgami narodu i pielgrzymstwa", które podniosą struchlałe serca i pozwolą przetrwać przejściowy—jak się łudzą żydzi—zarówno kryzys ekonomiczny, jak i antysemityzm światowy.

Zdaje się jednak, że twarda rzeczywistość nie podda się przepowiedniom mesjańskim, a żydowskie sny o potędze rozwieją się jeszcze przed końcem „szóstego tysiącolecia od stworzenia świata", i to w sposób ostateczny i nieodwołalny.

JAN MOSDORF

PIEKŁO NA ZIEMI
EKSPLOATOWANE PRZEZ ROTSZYLDA

Marsylja (PAT). Donoszą z Gujany, że kilkunastu skazańców, zmyliwszy czujność straży, zbiegło z więzienia Saint-Martin de-Re. Mimo natychmiast zarządzonego pościgu, nie udało się dotychczas ująć zbiegów, wśród których znajduje się większość cudzoziemców.

SYBIR, jako miejsce zesłania, zapisał się nietylko w historji Rosji, lecz i Polski. Ile tam zesłańcy wyciepieli, Bogu jednemu wiadomo. Byli wśród nich tacy, co pokutowali za winy popełnione, iluż było zgoła niewinnych?

Tragizm codziennego życia tych nieszczęśliwych opisał Dostojewski w „Zapiskach z martwego domu". Zdumiewano się nad temi opisami, podziwiając niezwykłą fantazję i wizjonerstwo autora, a przecież to była tylko — rzeczywistość w całej swej okropności. Gdy Kennan, na zasadzie wieloletniej obserwacji, napisał swoje głośne dzieło o Syberji, tłumaczone na wiele języków, w Europie z oburzeniem pełnem grozy zadawano sobie pytanie: czyż to możliwe? A tymczasem opisy były jeszcze zbyt blade wobec tego, co cierpieli skazańcy. Ale — mówiono wówczas — to było w Rosji, w kraju barbarzyńskim, w państwie carów despotów.

Również w więzieniach amerykańskich, które opisał London na zasadzie doświadczeń osobistych, dzieją się rzeczy, o których człowiek cywilizowany nie może myśleć bez przerażenia.

W r. 1925 dziennikarz Albert Londres w książce „*Dante n'a rien vu*" opisał piekło, przez jakie przechodzą zesłańcy do francuskiej wojskowej kolonji karnej w Biribi w Afryce. Był to wielki akt oskarżenia. Poruszył opinję publiczną, poruszył sumienia. W dwa lata potem, słynny pisarz André Gide jedzie do Afryki, bada, obserwuje, i pisze nowe oskarżenie władz francuskich.

Ale prasa, przedewszystkiem „*Petit Parisien*", zwróciła uwagę, że stosunki w kolonjach afrykańskich są rajem w porównaniu z tem, co się dzieje w Guyanie i Nowej Kaledonji.

Zesłańcy do tych kolonij powiadają, że świat składa się z trzech części: z nieba, ziemi i... „Bagno". „Bagno" jest to więzienie w Cayenne, będącej stolicą Guyany Francuskiej.

Klimat zabójczy dla Europejczyka. Kto uniknie wszystkich, panujących tam chorób tropikalnych, na tego czyha jeszcze żółta febra, nieodstępna towarzyszka zesłańców do tych wysp djabelskich.

Guyana jest to kolonja karna od roku 1885. Jest to prawdziwy ropień na ciele cywilizacji. Gdy

w r. 1926 okręt *„St. Martiniére“* odbijał od brzegów portu w Brest, wioząc 340 zesłańców do Cayenne, mówiono, że to już ostatni transport... Ale czy ostatni? Albowiem głęboki smutek ogarnia na samo wspomnienie tych cierpień ludzkich, tych tortur, niegodnych wieku XX.

Ale dlaczego? Dlaczego władze francuskie wysyłają do tej katorgi w Guyanie czy w Nowej Kaledonji?

Chyba jedynie dlatego, że to leży w interesie Rotszylda.

Rząd francuski — jak swego czasu wyjaśniła gazeta *„Libre Parole“* — sprzedał Rotszyldom monopol eksploatacji niklu w Nowej Kaledonji oraz monopol eksploatacji pracy katorżników. Kopalnie niklu w Nowej Kaledonji dają trzy czwarte produkcji światowej. Produkcja była większa niż zapotrzebowanie. Przeto minister skarbu Klotz (żyd z pochodzenia) wprowadził zdawkową monetę z niklu, wycofując zarazem bilon miedziany. Rotszyld otrzymał odrazu zamówienie na 80 miljonów franków na—nikiel. Wpływy Rotszyldów za kulisami polityki francuskiej były potężne. Loubet, radca prawny domu bankowego Rotschild Fréres, został przeforsowany na prezydenta republiki. Mówiono wtedy we Francji: *Loubet la Honte.* A inicjały R. F., czyli republika francuska, czytano: Rotschild Fréres.

Rotszyld otrzymał monopolistyczną produkcję niklu, rynek zbytu, darmową pracę katorżników, a rząd francuski musi się troszczyć o adminstrację kolonji, wydaje olbrzymie sumy na utrzymanie katorgi i ma kłopoty, aby utrzymać zesłańców, którzy przecież stanowią siłę w rotszyldowskich kopalniach niklu.

A od Bagno gorsze są tylko Sołowki na Oceanie Lodowatym, gdzie bolszewicy umieszczają swoich zesłańców, przeważnie ludzi niewinnych.

WŁADYSŁAW WOLERT

DWA OBLICZA RADYKALIZMU POLITYCZNEGO

NA PRZESTRZENI ostatnich piętnastu lat w różnych państwach dochodziło do rządów radykalnych, przyczem tu i owdzie dały się zauważyć objawy, znane z praktyki rosyjskiej. Występowały one w formie łagodniejszej tam, gdzie radykalizm zapanowywał w drodze parlamentarnej, natomiast, gdy sięgał po władzę — nawet na Zachodzie — w drodze przewrotu, niósł on z sobą wypróbowane w Rosji azjatyckie metody rządzenia: widzieliśmy to na Węgrzech za Beli Kuna, obecnie zaś widzimy w Hiszpanji, gdzie „pogłębianie“ nowego *régime*'u odbywało się z większym nawet wandalizmem, niż początkowo w Rosji — narazie zaś kraj ten przeżywa *sui generis* kiereńszczyznę. W odbudowanej Polsce od pierwszch chwil jej wskrzeszenia radykalizm wyciągnął ręce po władzę. Pierwszy rząd lewicowy ujawnił już wszystkie ujemne cechy rządów radykalnych z posmakiem wschodnim, o ile to było możliwe, jako że bądź co bądź chciał być rządem legalnym. Jakkolwiek przez szereg pierwszych lat przewinęły się u nas rządy o konstrukcji parlamentarnej, zaś przez widownię polityczną przeszła niejedna światła jednostka, radykalizm już na początku zdążył tak głęboko zapuścić swe korzenie, że wywierał presję nawet na rządy umiarkowane, zmuszając je różnemi, tak właściwemi dlań metodami do liczenia się z jego wpływem.

*

Jeżeli na podstawie „wyczynów“, których jesteśmy świadkami z jednej strony gdy radykalizm walczy z władzą lub o władzę, oraz z drugiej — gdy cel swój osiąga, zechcemy spostrzeżenia swe ująć syntetycznie, będziemy zmuszeni rachunek jego poważnie obciążyć, a złożą się nań następujące bardziej znamienne rysy:

Przedewszystkiem obłuda. Gdy radykalizm nie jest u władzy, rozdziera szaty, z powodu krzywd społeczeństwu wyrządzanych, z powodu krępowania wolności i t. d. Gdy jednak sam staje u steru rządów, niebawem przejmuje od tych, z którymi walczył, najgorsze ich metody, udoskonalając je w kuźni partyjnej. Społeczeństwu pozostawia obowiązki, sobie zaś prawa, o ile chodzi o korzystanie z nich. W zakresie atoli ich wykonywania czuje się nieswojsko, ponieważ w walce z rządami przywykł do akcji nielegalnej, wychował się raczej na łamaniu prawa. Tam więc, gdzie ścisłe jego wykonywanie niedogadza interesom partyjnym, stara się przedewszystkiem o jego „uelastycznienie“, nieraz nawet twierdząc naiwnie, że wybitniejsze indywidualności nie mogą działać w wytkniętych ramach. Gdy zaś owej operacji „prawnej“ dokonać nie może, albo bezceremonjalnie prawo lekceważy lub też je *ad hoc* nowelizuje. Obchodząc prawo, nie uznając zasad etycznych w rządzeniu, radykalizm lubi zarazem czyny swe przeciwstawiać tym, których sprawcą były rządy, zwalczane przezeń lub obalone. Lubi rzucać w oczy piaskiem demokratycznym, a nawet przeciwnikom swym wytykać brak etyki lub poczucia prawa. W rzeczywistości wolność uznaje, ale tylko dla siebie oraz swych adherentów, od reszty wymaga jedynie posłuchu.

Obłuda, jaka towarzyszy radykalizmowi, staje się jaskrawym dowodem, że często najbardziej czynni jego menerzy są zwykłymi geszefciarzami, którym chodzi o doraźne cele materjalne. Są one jednak ściśle związane z posiadaniem władzy: czy możemy sobie bowiem wyobrazić zadowolenie radykałów, gdyby nawet opływali w dobrobyt, jeżeli jego szafarzem będzie kto inny, stojący u władzy.

Tutaj też zahaczamy o drugą znamienną cechę radykalizmu, a jest nią nietolerancja. W stadjum początkowem ujawnia się ona w stosunku do przeciwnika rządzącego, gdy zaś został on pokonany, przenosi się na te sfery społeczeństwa, które otwarcie, acz w formie legalnej, ważą się niesprzyjać nowym władzom radykalnym, lub też mogą być o to posądzane. W stosunku do apolitycznej większości zapanowuje atmosfera nieufności. Całe to nastawienie naogół pociąga za sobą lekceważenie opinji publicznej i — co jest tak charakterystyczne dla ludzi, zaprawionych do pracy konspiracyjnej — tajemniczość w rządzeniu oraz brak szczerości, w pewnych zaś momentach przybiera cechy intensywnej i systematycznej walki ze społeczeństwem. Tkwiąc zresztą już w naturze radykalizmu, na gruncie praktycznym walka ta ma prowadzić do utrwalenia się władzy.

W każdem środowisku uspołecznionem ścierają się zazwyczaj różne kierunki. W każdem też pań-

stwie musi istnieć opozycja, tak że — jak to dowcipnie zauważył pewien polityk — gdyby jej gdziekolwiek nie było, należałoby ją stworzyć. Mamy tu oczywiście na myśli opozycję rzeczową, nie zaś zawodową, którą tak chętnie zawsze uprawiają radykaliści, traktujący nieraz przeciwnie opozycję rzeczową, skierowaną przeciw sobie — gdy są u władzy — jako akcję antypaństwową. Ideowi, uczciwi i trzeźwi wyznawcy pewnego programu potrafią uszanować wyznawców — odmiennego. Dla karjerowicza zaś i zaślepieńca politycznego przeciwnik staje się wrogiem, godnym prześladowania.

Takich to wrogów tworzy sobie zazwyczaj radykalizm. Gdzież on ich upatruje?

Jeżeli chodzi o dziedzinę społeczną oraz polityczną, na wrogów tych składa się obóz ludzi o myśli niezależnej, w szczególności ludzi o przekonaniach tradycjonalistycznych, narodowych, oraz o światopoglądzie religijnym. Radykalizm, jako naogół kierunek o podłożu materjalistycznem, religję albo bagatelizuje albo też zwalcza, jeśli zaś dla oka ludzkiego zmuszony jest uciekać się tu do pozorów bezstronności, w czynach jednak istotne swe nastawienie ujawnia bardzo wyraźnie.

Wogóle zaś radykalizm węszy dla siebie niebezpieczeństwo w czynnikach, zasobnych w etykę, niezłomność charakteru oraz fachową wiedzę, a więc w to wszystko, czego przeważnie sam nie zdobył lub nie szanuje. Zdając sobie wszakże doskonale sprawę z praktycznego znaczenia tych walorów, boi się, że wysokie kwalifikacje duchowe odniosą w drodze naturalnej zwycięstwo nad życiowym materjalizmem.

Wrogie nastawienie radykalizmu w obu powyższych wypadkach powoduje zarazem dwa charakterystyczne objawy.

Pierwszym jest kokietowanie skrajnych żywiołów oraz mniejszości narodowych. Rządzący radykalizm, o ile nie zajmuje stanowiska skrajnie lewicowego, walczy zararówno na prawo jak i na lewo. W pierwszym wypadku walkę sam sobie przeważnie narzuca, w drugim jest do niej zmuszony, ma bowiem do czynienia z przeciwnikiem, również żądnym władzy, a zarazem siegającym w walce do arsenału wszelkich środków, prowadzących do celu. W tym drugim wypadku względy ideowe odgrywają raczej nikłą rolę, cała bowiem lewica czuje się zawsze poniekąd partyjnie spokrewniona, zaś w metodach rządzenia dzielą ją różnice niewielkie. Gdy np. chodzi o przeciwstawienie się prawicy, radykalizm chętnie zerka na lewo, tworząc jednolity front.

W stosunku do „mniejszości" jest on tem łaskawszy, im bardziej niechętny dla żywiołów rdzennie narodowych. Pobudki polityki radykałów bywają tu rozmaite. Zasadniczo kierują się ogólną doktryną oraz wynikającą z niej chęcią roztaczania opieki nad rzekomo uciskanymi. Ujmując zaś sprawę praktycznie — co jest najważniejsze — są przekonani, iż mniejszości, jako luźniej z państwem związane, dadzą się bez trudności pozyskać dla kierunku panującego — chociażby kosztem pewnych ustępstw lub wprost tytułem obopólnie wrogiego stanowiska względem prawicy narodowej. Inny jeszcze wzgląd powoduje zbliżenie obu stron; wśród mniejszości w wielu państwach główną rolę odgrywają żydzi, jako najbardziej obrotni, ci zaś zgodnie ze swą strukturą duchową wszędzie lgną do radykalizmu i są jego podporą.

Drugim objawem jest kult dyletantyzmu oraz niekompetencji. Zdawaćby się powinno, że upatrując dla siebie — zresztą słusznie — niebezpieczeństwo w przeciwniku silnym umysłowo oraz fachowo, radykalizm postara się z pośród „swoich" również mobilizować jednostki pod tym względem najtęższe—chociażby dla celów samoobrony. Tymczasem właściwą niechęć przenosi on i na własne podwórko. Kwalifikacje partyjne wysuwa tu na pierwszy plan—raz, że są konieczne, a następnie i nie straszne, ponieważ asy partyjne uważają siebie pod tym względem za bardzo mocnych. Boi się natomiast, że partyjnik, który okaże się mądrzejszym, może „elitę" wziąć „za łby". Gdy więc taki działacz czegoś się w rządzeniu nauczy, zwykle bywa honorowo usuwany, zapewne w myśl sparafrazowanego przysłowia, że „lepiej z głupim stracić...".

Dążenie do władzy i jej utrwalenia, a następnie węszenie wszędzie niebezpieczeństwa powoduje u radykałów etatyzm. Nie mogąc otwarcie żądać uległości dla partji, stwarzają oni obłudną teorję, iż rząd — to państwo — obłudną, gdy bowiem nie stoją u steru lub blisko rządów, walczą i to bezwzględnie z każdym rządem. Po ustaleniu wymienionej teorji przemycają wszelkie posunięcia partyjne pod firmą państwową.

Apoteozując spreparowaną pod odpowiednim kątem widzenia ideę „racji stanu", żądają od obywateli ofiar a zarazem częstokroć pozbawiają ich elementarnych praw. Nakładając możliwie na wszystko stempel państwowy, tą drogą okólną interesom partji podporządkowują całe życie. W tej sztuce wkraczania wszędzie — wschodnią metodą „jaczejkową" — należy radykalizmowi przyznać niezwykłą i niemal jedyną jego zdolność, połączoną z tą specyficzną, a tak smutną gorliwością, którą w życiu nieraz spotykamy tam, gdzie występuje osobisty, społecznie zaś szkodliwy interes. Ale ta zdolność jakże jest kosztowna dla Narodu-Państwa! Będąc wszak oparta na egoizmie oraz na nienawiści, zmierza jedynie do rozbijania społeczeństwa w myśl zasady „*divide et impera*". Cóż więc dziwnego, że operując oderwanem i obłudnie ujętem pojęciem państwa, radykalizm skrzętnie unika wspominania o narodzie i społeczeństwie.

Nie mogąc pogodzić się z głosem niezależnym, tembardziej jeżeli otwarcie piętnuje różne wybryki „silnych", radykalizm, acz wychowany na dążnościach wolnościowych, szeroko stosuje walkę z prasą. Zdaniem ludzi o umysłach przytępionych, państwu szkodzą nie ich czyny zdrożne, lecz te uczciwe głosy, które je ujawniają i rzeczowej poddają krytyce. Z dwojga złego radykalizm woli przeto takiego przeciwnika, który karty swe chowa, niż tego, który otwarcie na stół je kładzie. Przyzwyczajony do akcji konspiracyjnej rządzący radykalizm nie zdaje sobie sprawy, że swą polityką strusią i nietolerancyjną sam pobudza swych przeciwników do konspiracji i nagromadza materjały wybuchowe.

Utożsamianie rządu (partji rządzącej) z państwem i wynikające stąd specyficzne ustosunkowanie się do dobra publicznego pociąga za sobą rozrzutność. Radykalizm, póki nie stoi u władzy, demagogicznie utyskuje na trwonienie grosza publicznego, ciężko przez naród zapracowanego. Gdy jednak staje się jego szafarzem, rozpoczyna gospodarkę z niczem się nie liczącą. Zaczyna się od nieumiejętnego szastania dobrem społecznem i hoj-

ności na cudzy koszt, zresztą stosowanie metod rewolucyjnych tam, gdzie winna być przestrzegana ścisłość oraz skrupulatność. Do tego niebawem dołącza się potrzeba pokrywania wydatków partyjnych z kasy państwowej lub społecznej. W dziedzinie tej rozpoczyna się dopiero istna orgja, gdy do „współpracy“ rzuca się zgraja „specjalistów“ finansowych, umiejętnie wkradających się w zaufanie partji. Gdy zaś radykalizm widzi, że zasoby się wyczerpują, postępuje konsekwentnie, zazwyczaj bowiem żąda wtedy nowych ofiar od uciemiężonego przezeń ludu, daleki jest wszakże od redukowania partyjnych lub osobistych swych zachcianek.

Zatrzymaliśmy się na głównych cechach polityki rządów radykalnych. Ponadto charakteryzuje ją pewien rys ogólny, — a bardzo ważny, — wynikający z braku u większości radykałów właściwego wyszkolenia umysłowego, myślowego oraz życiowego: uwidocznia się on w chaotyczności zamierzeń i czynów, pozatem zaś w niezdolności do jasnego, dokładnego oraz konkretnego wyrażania myśli [1]).

„Zarejestrowanych“ przez nas cech nie znajdziemy, oczywiście, w radykalizmie zawsze i wszędzie, w całej rozciągłości oraz intensywności. Nie należy wszak zapominać, że co innego radykalizm zachodni, bardziej kulturalny, co innego zaś, żadnych skrępowań nie znający radykalizm sowietów. Cechy te jednak występują ogólnie, choć z mniejszą lub większą siłą.

*

Czy mamy jednak dziwić się takiemu stanow[i] rzeczy? Cóż bowiem stanowi normalne pożywienie radykalizmu? Wobec tego, że stale towarzyszy mu niezadowolenie, którego źródłem nietyle może są bolączki otaczającego świata, co własne niepowodzenie oraz zboczenie z drogi zwykłej pracy, codzienną jego strawą staje się walka, przeważnie nielegalna, bezwzględna, bezpośrednia, niszcząca — w przeciwstawieniu do walki pozytywnej, polegającej na twórczej pracy: o ile ta zahartowuje, o tyle tamta deprawuje walczących. Zgodnie z wytkniętemi zadaniami oraz zasadami, radykalizm wychowuje swych zwolenników w atmosferze materjalizmu społecznego, a co za tem idzie indyferentyzmu, przeważnie zaś negatywizmu religijnego, ponadto zaś w atmosferze doktryny, nie zaś istotnych, realnych potrzeb życiowych. Osobniki, wychowane w takiej szkole, otrzymują wykształcenie jednostronne, całkiem osobliwe i wychodzą z niej pozbawione tej najważniejszej podstawy życiowej, jaką jest etyka chrześcijańska. Celowo wychowani zdala od jej zasad, przyzwyczajają się sprowadzać wszystko do siebie, czy do swego najbliższego otoczenia, każdego zaś przeciwnika uważać za wroga i wobec tego nienawidzieć. A w sztuce tej tępej nienawiści, już to klasowej, już partyjnej lub osobistej dochodzą do takiej perfekcji, że nieraz wydaje się, iż uczucie to u niejednego zdolne jest przewyższyć nawet wierność dla partji. Odrzucając etykę chrześcijańską jako zabobon reakcyjny (— a może, jako wręcz niewygodną —) uznają etykę specyficzną, dostosowaną do potrzeb doraźnych. Z tą wygodną etyką — wedle której pojęcia dobra i zła posiadają znaczenie względne— radykalizm przystępując do rządów, nie może też uznać siebie za sługę społeczeństwa, nie dba o jego zaufanie, wszystko natomiast chce nagiąć do swej woli. Oczywiście najgorzej bywa z etyką u całej rzeszy ludzi, pozbawionych czci, godności i przekonań, którzy się czepiają rządów autokratycznych, byle wypłynąć na powierzchnię.

W braku etyki chrześcijańskiej tkwi źródło wszystkich szkód i nieszczęść, jakie niosą z sobą rządy radykalne. Kto walczy, wierny jej zasadom, ten chętnie życie swe i mienie narazi dla dobra sprawy, jeżeli zaś wyjdzie z walki cało i zwycięsko, odda się na usługi społeczeństwa, zarówno zgodnie ze swemi istotnemi zdolnościami, jak i z tegoż wolą. Tego rodzaju jednostka, jakkolwiek garnie się do pracy, ożywiona najlepszemi chęciami, ustąpi bez protestów, gdy się okaże, iż zadaniom swym podołać nie może, celem jej bowiem jest służenie państwu, nie zaś jego wyzyskiwanie.

Takie jest ustosunkowanie się ludzi do swych obowiązków, gdy przyświeca im etyka chrześcijańska i na niej oparta społeczna. Życie zaś poucza, że co w zarodku posiada zło, lub tylko brak czystych intencyj, stale będzie się mściło oraz o nowe ofiary upominało, wyrządzając społeczeństwu niepowetowane szkody, a zarazem stopniowo pogrążając swych sprawców.

SZCZĘSNY JANOCKI

[1]) Dawniej u nas można to było zauważyć np. u Ludwika Mierosławskiego, w czasach bliższych, w Rosji, u Kierenskiego, niejeden zaś dzisiejszy radykał nie potrafi zbudować jasnego zdania, prawiąc o „budowie trwałej racji stanu“.

Z OSTATNICH CHWIL A. MICKIEWICZA

(Dokończenie)

KRÓTKO MÓWIĄC, przy czytaniu broszury p. Brandstaettera ma się raz po raz wrażenie, że czynny udział Mickiewicza przy formowaniu pułku żydowskiego wyolbrzymia, przesadza, poprostu robi z igły widły. Tendencja podobna w całej tej sprawie istnieje zresztą oddawna. Po śmierci Mickiewicza ajent Rotschilda Landau pisał o nim do Levyego, że sprawie żydowskiej „poświęcił on całe swoje życie“ (str. 37). Ocena zjawiska zarazem uproszczona i przesadna. W danym wypadku przypisać ją trzeba zapewne suggestji samego Levyego. Z podobnąż przesadą mamy do czynienia w tytule i w treści omawianej broszury. Jest tu, jak widzimy, metoda. Tymczasem trzeba powtórzyć: niedoszły „legjon żydowski“ z r. 1855 nie miał być tak całkowicie „legjonem Mickiewicza“. Wyraźnie nadużyto tutaj kredytu poety. Od tego wprawdzie jest historja, żeby takie mylne rachunki prostować, ale na to musi się ona uzbroić w ścisłość, krytycyzm i bezstronność.

Obawiać się należy, że ostatni historyk temu zadaniu nie sprosta. Praca jego w tym właśnie

kierunku nie jest wolna od usterek metodycznych, mniejszych [1]) i większych. Do tych właśnie należy zdrożny brak krytycyzmu, zarówno w doborze, jak w próbowaniu źródeł. Tak np. za dobrą monetę bierze on rękopiśmienną gawędę Czajkowskiego: A. Mickiewicz w obozie kozackim, i nie troszczy się o to, czy w niej więcej prawdy, czy fantazji; dość mu tego świadectwa, żeby pisać o tem, jak to w obozie kozackim „stanęła synagoga izraelska — pod opieką A. Mickiewicza“, chociaż ta wiadomość Czajkowskiego akurat tyleżsamo warta co i druga, że Rotschild zaciągnął się jako ochotnik do kozaków otomańskich.

Ten to brak umiejętnej krytyki źródeł odbił się dokuczliwie na całości przedstawienia; raz po raz przychodzi się tam natknąć na twierdzenie wątpliwe a bezzasadne. Na podściółce zaś tej niedomogi wybujała silnie jedna zwłaszcza cecha wywodów autora: egzageracja apologetyczna, wyolbrzymianie wszystkiego i wszystkich, co się związali z „legjonem“. Bronzownictwo odchodzi tu na potęgę.

Trochę ilustracyj. — Pierwszy zawiązek „legjonu“ mieli — jak wiadomo — utworzyć żydzi, służący już w szeregach pierwszego pułku kozaków. Iluż ich tam było? W oczach autora wcale dużo. Chociaż więc nazwisk zdołał zebrać po regestrach niespełna 60, przecież — za Levym — liczy wszystkich na 200. Czy to liczba prawdziwa? Możnaby mieć wątpliwości. Wiemy skądinąd [2]), że stan bojowy całego 1 pułku kozaków wynosił wtedy właśnie około 500 ludzi. Miałożby być w nim Żydów 40%? Wątpliwość się utwierdza, gdy czytamy w nocie oficjalnej Levyego skromniejszą wzmiankę tylko o „pewnej liczbie“ („zauważyliśmy pewną liczbę ochotników żydowskich w 1 pułku“), a zakorzenia się głęboko, gdy spotykamy świadectwo współczesne (p. Brandstaetter milczy o niem jak grób) innego świadka, który w Burgas przyglądał się zbliska pułkowi i znalazł w nim Żydów kilku zaledwie („p. Levy“, — pisze H. Służalski dn. 29.X.1855, — „wejdzie do kozaków, gdzie jest kilku Żydów, a teraz ma sobie polecone [nb. przez Sadyka] roboty z Żydami [3])“). Iluż więc było ich naprawdę? Sprawa do rozwiązania nie taka znów trudna, zwłaszcza gdyby wziąć na pomoc świadectwo Jeża o olbrzymiej fali dezerterów, przepływającej przez korpus Czajkowskiego (liczy on ich w 1 pułku na 2000 przeszło). Jaki tam procent Żydów?

Ta skłonność do egzageracji nie opuszcza autora-panegirysty zarówno kiedy mówi o rzeczy, jak i o ludziach. Tak np. pewną rolę przy zabiegach o formację odegrał tam niejaki Horenstein, żyd chorąży, wreszcie podobnoś kapitan w pułku pierwszym. Przy Levym, a poniekąd i przy Mickiewiczu, pełnił on funkcje jakby adjutanta; z właściwą sobie skłonnością do przesady autor rozprawy mianuje go „ulubieńcem Mickiewicza“. Otóż p. Brandstaetter ma o nim do powiedzenia same superlatywy: „Jeden z najlepszych i najzdolniejszych oficerów Czajkowskiego... Świetny organizator i żołnierz, odgrywał w sztabie kozackim ogromną rolę“ (str. 63). Warto atoli zaznaczyć, że dość odmienne wiadomości zdołał zebrać o tym adjutancie inny historyk Fr. Rawita Gawroński [4]); warto zaś tem bardziej, że o tamtym sądzie, raczej ujemnym, znanym od lat przeszło trzydziestu, u p. Brandstaettera znowu głuche milczenie. A właśnie bardzo nas ten „kapitan“ Horenstein interesuje; był, — jak pisze Gawroński, — „zdolny, czynny, nie liczący się z niczem“...

Jak widzimy, krytycyzm i pasja prawdy u autora rozprawy wydają się jakoś dziwnie ograniczone; nie dziw, że dość często usposabiają sceptycznie do jego twierdzeń i konkluzyj. Obok przerostu chwalby nie brak w nich charakterystycznych niedomówień.

Ale dość już o tem, boć nie chodzi tutaj bynajmniej o recenzję wspomnianej rozprawy. Owszem, chcemy z niej skorzystać i posłużyć się nią, by się zorjentować w charakterze owego niby — legjonu, a zwłaszcza w powodach jego niepowodzenia. Wcale obfite bogactwo materjału archiwalnego, zużytkowanego w broszurze, ułatwi nam to bezwątpiania.

Jednem z pozytywnych i — przyznajmy — cenniejszych dorobków rozpraw p. Brandstaettera jest ustalenie, w jaki sposób inicjatorzy pułku żydowskiego wyobrażali sobie zaciąg jego szeregowych. Teraz dopiero mianowicie wychodzi jasno, że w pomyśle ich leżało formowanie oddziału nietylko z jeńców rosyjskich wyznania mojżeszowego, zwerbowanych na ochotnika, lecz — i to przeważnie — drogą obowiązkowej rekrutacji wśród Żydów obywateli tureckich. Także koszt utrzymania pułku miałby obciążyć przymusowo Żydów tureckich.

Widzimy zarazem dowodnie, że tutaj właśnie inicjatorzy natknęli się na trudność największą. Żydom tureckim służba w szeregach — w tym wojennym czasie — zupełnie się nie uśmiechała; panowało wśród nich, — jak stwierdza p. Brandstaetter, — „małe poczucie religijne i zupełny zanik godności narodowej“ (str. 16). Sprawa się zaogniła przez to, że rząd turecki, chcąc podnieść swą siłę zbrojną, wydał był — także dla Żydów — zarządzenie o powszechnym obowiązku służby w milicji. Zarządzenie to, poparte groźbą utraty praw obywatelskich dla opornych, wywołało wśród Żydów tureckich popłoch i gwałtowny opór. Musiał być ten opór dobrze zorganizowany i dotkliwy, skoro ostatecznie rząd turecki zmuszony był cofnąć dekret o powszechnej służbie wojskowej Żydów. Tymczasem inicjatorzy pułku jazdy żydowskiej właśnie na tym dekrecie budowali swe plany. Czytamy w memorjale podyktowanym przez Mickiewicza Levyemu:

„*Un regiment de mille hommes sera formé parmi les israélites de l'Empire. Il sera vêtu, équipé et nourri par la Porte, soldé par ses correligionaires*“ [5]).

O ten tedy punkt rozbiło się wszystko. Przyznaje to autor wyraźnie:

„Żydzi tureccy“, — pisze, — „wyzbyci głębszego poczucia narodowego, nie czuli potrzeby stworzenie legjonu żydowskiego, ani walki o rehabilitację własnej rasy, ani tem samem nie mieli zamiaru korzystać z przysługującego im prawa noszenia broni w wojsku tureckiem“ (str. 16).

Rzecz jasna, że w takich warunkach formacja wojskowa czysto żydowska byłaby dla Żydów

[1]) Autor nie wyczerpał należycie literatury przedmiotu Nie skorzystał np. z książki Fr. Rawity Gawrońskiego, „Materjały do historji polskiej XIX w. Działalność emigracji... na terenie Turcji“, Kraków 1911. Z zawartych tam materjałów dowiedziałby się np., że także Śniadecka niezbyt się entuzjazmowała tym legjonem, zniechęcała do niego Sadyka; „bierz lepiej Bułgarów“, — pisała, — „jak tyle Izraela“.

[2]) Miłkowski Z., „Udział Polaków w wojnie wschodniej“, Paryż 1858; zob. str. 173.

[3]) Mickiewicz Wł., Żywot, t. IV, str. CX.

[4]) „Rok Mickiewiczowski“, Lwów 1899, t. I, 222.

[5]) Korespondencja A. Mickiewicza, II 129.

tubylców prowokacją w kierunku, w którym oni zupełnie iść nie zamierzali. Nic tu nie pomogły perswazje, że chodzi o oddział ostatecznie niewielki (do planowanego 1000 ludzi „Żydzi tureccy mieli dostarczyć mniejszej części kontyngentu rekreta", str. 25) i że świadczenia na jego rzecz sprowadzą się głównie do złożenia pewnej opłaty. Przed tym oporem Żydów tubylczych cofneli się nawet, ochotni potrosze początkowo bankierzy żydowscy, Camondo i ajent Rotschilda Landau. Levy półgębkiem, ale niemniej wyraźnie kieruje pod ich adresem zarzut „opieszałości" (str. 29). Na nic się zdały zachęty Czajkowskiego, „aby p. Levy zmusił do akcji swych możnych współwyznawców" (str. 37); nie udało się przełamać, — jak zaznacza p. Brandstaetter — „apatji barona Camondo i żydów tureckich" (str. 48). Pomysł cały kończył się nieuchronnem fiaskiem.

Odpowiedzialność za ten stan rzeczy przerzuca nasz historyk, sposobem dość niespodzianym — także na Polaków. Ma on za złe Sadykowi Paszy, że widząc bierny opór po stronie żydowskiej, nie wpraszał się dość wytrwale z projektem, mającym podnieść sławę Izraela; „widząc, że bankierzy żydowscy nie zgłaszają się do niego celem omówienia projektu legjonu, nie chciał pierwszy poczynić w tej sprawie żadnych kroków" (str. 48), co więcej — niepoprawny humorysta — „radził, by Żydzi tureccy, jako jedynie obecnie zainteresowani, sami interwenjowali u rządu" (str. 61). Historyk wytyka mu to jako „szkodliwą dumę szlachecką".

W tym stanie rzeczy pomysł „huzarów Izraela" z r. 1855 upadł ostatecznie. Dlaczego tak się stało? Czy dlatego, że ze śmiercią Mickiewicza brakło najpoważniejszego promotora sprawy? Rozprawa p. Brandstaettera, — jak widzieliśmy, — nie zostawia tu wątpliwości. Zapewne, nie palił się zbytnio do całego tego projektu rząd turecki; choć równocześnie niezbyt wyraźnie do niego zniechęcał. Były też inne kłopoty, natury personalnej i t. p. Jednakowoż przyczyną niepowodzenia główną był opór sfer żydowskich, zarówno szerokiej masy żydowstwa tureckiego, nie czującego „zupełnie", — jak autor eufemistycznie się wyraża, — „powołania do służby wojskowej", jak też i górnych sfer: potencyj finansowych, na które głównie liczono, bankiera Camondo i ajentów Rotschilda. Można więc śmiało zostać przy tej konkluzji: jeżeli kto miał interes główny w unicestwieniu projektu tak zwanego „legjonu żydowskiego", to przedewszystkiem Żydzi tureccy.

No, a rodacy Mickiewicza, ów symboliczny „szlachcic polski", cała „*Polonia semper fidelis*", — jak ironicznie pisze p. Boy-Żeleński? Konkretnie biorąc, jakże patrzyli na te poczynania poety zwolennicy najwpływowszego w Konstantynopolu ks. A. Czartoryskiego, w szczególności jak się do nich odnosił Wł. Zamoyski, w orjentacji politycznej przeciwnik Mickiewicza najbardziej zasadniczy? Wiemy, co o nich sądzi p. Żeleński; jego zdaniem z tego to obozu, z atmosfery roznamiętnienia, tam wytworzonej, mógł wyjść skrytobójca Mickiewicza, pragnący położyć kres sprawie, która „okryłaby hańbą i jego i Polskę". Wiemy — i musimy się zdumiewać niepomału. Przecież prokurator samorzutny w tejżesamej broszurze, która była dlań punktem wyjścia potwornego oskarżenia, bez trudu mógł był znaleźć współczesne i niepodejrzane świadectwa, że było zgoła inaczej, że nie może być mowy o zasadniczo wrogim stosunku Hotelu Lambert do zabiegów Levy'ego. Trzeba lekkomyślności wyższego rzędu, żeby z taką nonszalancją odnosić się do świadectw historycznych.

Jednym z ajentów politycznych Czartoryskiego w Konstantynopolu był dr. Drozdowski. Otóż z listu Levy'ego do Sadyka (z dn. 20 października 1885 r.) dowiadujemy się wprost, że Drozdowski ułatwił mu zabiegi w sprawie projektowanej formacji, pośredniczył między Levym a dygnitarzami tureckimi.

„Jego Ekscelencja Tepfik Pasza, któremu przedstawił się dr. Drozd. pochwalił ideę stworzenia pułku żydowskiego pod Pańskiemi rozkazami" (str. 31).

A stanowisko samego Zamoyskiego? I ono wcale jasno widoczne jest z ogłoszonych materjałów. W cytowanej tu już gawędzie biograficznej pisze Czajkowski wyraźnie:

„W całej tej sprawie dziwiło mię mocno, że p. Zamoyski nie starał się wcisnąć się do tej kombinacji. Dopiero później dowiedziałem się od L. Zwierkowskiego, że wiedział i chciał szczerze wziąć pod swój kierunek tę żydowską organizację, ale że jego układy z rządem angielskim... odstręczyły od niego Rotschildów" (str. 69).

A więc wiedział o projektowanym pułku żydowskim i nie martwiał ze zgrozy, a nawet „chciał szczerze wziąć pod swój kierunek". Jakżeż za tem z tą „hańbą narodową"? Kto, kiedy i w czem ją upatrywał? Jak widać, całkowicie wbrew temu, co powypisywał p. Boy - Żeleński, sprawa pułku żydowskiego w korpusie Kozaków otomańskich była najwyraźniej do przełknięcia dla nowoczesnego „szlachcica polskiego" na Wschodzie, nawet dla „opanowanego przez jezuitów" Zamoyskiego. Te „hańbę" gotów on był wziąć na swą głowę.

Tak więc, wierząc dokumentom, nie fikcyjnym, ale oczywistym, nawet nie urzędowym, zakłamanym, ale poufnym i szczerym, zgodzić się musimy na jedno. Gadkę o tem, że zaangażowanie się Mickiewicza w projektowaną formację pułku żydowskiego pojmowano współcześnie w kołach polskich jako „hańbę narodową", gadkę o tem, że dla położenia kresu tej hańbie usunięto Mickiewicza skrytobójczo, że go otruto „*pro publico bono*" i „*pro Christo*", — gadki te włożyć trzeba stanowczo i raz na zawsze między bajki. Polowanie tego rodzaju bajkami na sensację określa język polski terminem bardzo dosadnym.

Jeżeli zaś chodzi o sam rzekomy legjon, zgodzimy się również, że prawda o nim wygląda znacznie skromniej, niż ją przedstawił ostatnio żydowski historyk. I rzecz w sobie była mniejsza, a udział Mickiewicza w niej, szczery i gorący niewątpliwie, przecież nie tak znów przesadnie nadmierny.

STANISŁAW PIGOŃ

[6]) A sam Levy czy długo wytrwał przy swojej idei? Niestety, też nie. Po czasie niejakim gdzież to szukać będzie dróg wyzwolenia Żydów, przez jakież to zapory chce ich wieść ten (chwilowy) kozak otomański i (również chwilowy) katolik? Pytali go Żydzi naddunajscy, poczem poznaje, że zbliża się zapowiadany im koniec tułaczki? „*Deran, — antwortete ich ihnen, — dass die türkische und die päpstliche Macht gebrochen wird*" (str. 8). Zdaniem p. Brandstaettera, tego rodzaju pojęcia wytworzył sobie Levy „pod wpływem ideologji Mickiewicza". Nie każdyby takie zdanie zaryzykował. — Dodajmy i to, że nawet z materjałów ogłoszonych przez p. Brandstaettera, Levy nie wychodzi zbyt sympatycznie: robi koło siebie zanadto dużo szumu. Zapisał się, zresztą formalnie tylko, do formacji Sadyka i tak to przedstawia ministrowi tureckiemu: „Wszak sam uczyniłem ten doniosły akt, że zgłosiłem się do niego jako ochotnik". Również w wytrwałem — po śmierci Mickiewicza — legitymowaniu się tytułem jego przyjaciela brak, jak na nasz gust, miary.

NA WIDOWNI

Braki naszej kultury. — Przejadanie się nowaljami. — Czy państwowość dla Polski jest nowością? — Praca myśli polskiej w w. XIX. — Jakie są najpilniejsze zadania wychowawcze w Polsce? — Żwirko i Wigura, a środowisko. — Jak pojmować wychowanie?

WRACAM do tematu, który przed dwoma tygodniami w tem miejscu poruszyłem. Była tam mowa o hasłach wychowania państwowego, ze snobizmem traktowanych i w sposób zbyt młodzieńczy. To, co się w tym kierunku u nas robi, jest kapitalnym dowodem niskiego stanu kultury społecznej w tych sferach, które te dążności wytwarzają, popierają i tolerują. Cechą pewnej pierwotności jest objadanie się nowaljami, nadużywanie mody i rabunkowość. Dziecko za nic nie chce zdjąć nowego ubrania, onoby w niem spało i kąpało się. Chłopiec, otrzymawszy na gwiazdkę rower, nie może sobie wyobrazić, dlaczego ludzie chodzą piechotą lub używają koni. Do stołu na obiad jedzie na rowerze, gwałt robi na ulicy, że tylko na rowerze można przebyć jezdnię... A cóż dopiero — dać chłopcu do ręki fuzyjkę! Wojna w domu i terror.

W podobnym stanie ducha znalazła się pewna część społeczeństwa polskiego po odzyskaniu niepodległości. Ludzie, zwłaszcza z mniej kulturalnych kresów wschodnich, socjaliści nie obyci z ideą narodu a wierzący tylko w walkę mechaniczną z losem, dorwali się do państwa jako do nowości specjalnie przez nich i dla nich zdobytej, jako do środka uniwersalnego, wobec którego wszystkie inne postacie życia społecznego są śmieszne, przestarzałe, zbędne, szkodliwe, nie dające się tolerować, nawet wrogie. Taki, co tak państwowość upodobał, nie zdejmie już munduru i odtąd poza państwem, jako zabawką, nic dla niego istnieć nie będzie. Ponieważ jednak pojęcie państwa jest zbyt złożone, więc stosować je może tylko ułamkowo ze strony materjalnej, a jeśli chodzi o ideę, ucieka się do personifikacji. Bardzo źle na tem wychodzi i skarb i gospodarka narodowa — zarówno materjalna, jak i duchowa.

Społeczeństwo polskie w wychowaniu młodych pokoleń widzieć chce coś więcej, niż normowanie stosunku do galówek i znaków, symbolizujących państwo. Jest to twór historyczny dawny, dla którego państwowość nie jest nowością. Ciężkie doświadczenia dziejowe nauczyły historycznych Polaków, na czem polegają braki ich kultury. Przekonały ich przedewszystkiem o jednej rzeczy, że niepodobna utrzymać na sobie państwa — ponad swój stan moralny i społeczny. Naród nie jest manekinem, na którym wisi mundur; państwo jest funkcją organizmu narodowego. Niema tu żadnych przeciwstawni. Żeby to czuć i uznać, nie trzeba na to studjów nad socjologją i naukami politycznemi, wystarczy mieć w porządku instynkty ludzkie i trochę rozsądku. Polacy mieli czas na pokucie zastanawiać się nad stosunkiem narodu do państwa.

Czeka na swego historyka ten okres wytężonej pracy poznawczej nad istotą narodu i stosunkiem jego do państwa. Pracowali nad tem zagadnieniem wielcy poeci, mesjaniści, filozofowie niemieckiej szkoły idealistycznej, aby swoje zdobycze przekazać pozytywistom, a potem ruchowi myśli narodowej dziś trwającemu. Cały ten okres niewoli, to było wielkie studjum nad zagadnieniem Narodu-Państwa, studjum, na które się składała męka ducha polskiego, intuicja poetów i myślicieli i religijne poruszenie w modlitwie. Z tak kosztowną nauką o narodzie nie da się porównać żadna praca poznawcza w gabinetach metafizyków i socjologów. Doszliśmy do pewnych przeświadczeń nie sylogizmem spekulacyjnym, lecz wydzieraliśmy prawdę z najgłębszego instynktu historycznego w drodze ciężkich przeżyć i przemyśleń.

Czy w tej nauce najsłabszym punktem miałaby być kwestja naszego stosunku do idei państwa, do tej idei, która właśnie była głównym motywem naszych modłów o powrócenie nam politycznej niezależności? Dziwne! Takie rozpoznanie naszych niedomagań postawiła „Sanacja", grupa ludzi, zorganizowana przez tych, którzy całą młodość poświęcali idei rewolucyjnej walczenia z państwem, którzy tak niedawno Orła Białego nazywali gęsią. Sprawa poszanowania państwa, gotowości ofiar dla niego, stoi w kulturze polskiej bodaj najlepiej. Szczytem jest niewiedzy lub obłudy, gdy nam wskazują, że tu leży sedno naszych zadań wychowawczych. Zadania te nie są tak elementarnie polityczne, pozostają one w związku z niedomaganiami historycznemi naszej kultury społecznej, a te jedynie mogą być leczone mądremi systemami wychowania narodowego. Są to zadania bardziej wewnętrzne i bardziej szczegółowe.

To w Polsce jest dobrze rozumiane i dlatego tak ciężki przebywamy kryzys w dziedzinie wychowania publicznego.

Weźmy najbliższy z brzega historycznego przykład. Żwirko i Wigura czego są obrazem? Wielkich bogactw przyrodzonych i talentów narodu polskiego. Jest w czem gospodarować, jest z kim pracować. Czy zasłużyli się Państwu polskiemu? Nikt chyba nie zaprzeczy. Był to ich wysiłek osobisty i prywatny, przy pomocy organizacji obcej popis swój wykonali. Radość narodu była wielka, państwo ich dekorowało. Ale co z tymi ludźmi zrobiliśmy nazajutrz? Zmarnowaliśmy ich, zmuszając, bez dania im wypoczynku, do niedbale urządzanych, błahych zabaw. Tym wielkim darom rasy i talentom osobistym nie odpowiadała wartością organizacja społeczna. Czyż wypadek ten nie potwierdza powyższych przykładów psychologji dziecięcej? Bez Żwirki i Wigury, jak bez nowej zabawki, nie mogliśmy się obyć. To jest psychologja tłumu dziecinnego, to nie jest gospodarka. Brak kultury społecznej, gdy organizacja nie dorasta wartością jednostkom.

Dosyć popatrzeć na naszą robotę zbiorową. Kolegjum, złożone nawet z przyzwoitych, osobno biorąc, jednostek, nie przedstawia żadnej wartości, owszem nieraz tylko szkodę przynosi, brak bowiem ludziom tej nadcnoty, którą daje wychowanie obywatelskie, cnoty rozdzielenia między sobą pracy i odpowiedzialności. Nasze wszystkie instytucje, choćby je przepełniać ludźmi, iżby sobie na głowie siedzieli, są półmartwe, taki panuje tam strach ponoszenia osobistej odpowiedzialności, a taka bezkarność, gdy jednostka umie się osłonić nimbem „sanacyjnem".

Wystarczy mała refleksja historyczna, aby ten stan rzeczy zrozumieć. W rozwoju kultury jesteśmy opóźnieni z powodu warunków, w jakich się znalazło rozbite społeczeństwo w czasach niewoli. A były to czasy, kiedy pośpiesznie i z wielkim nakładem celowego wychowania narodowego, nale-

żało się przeobrażać na społeczeństwo nowożytne. Nie mieliśmy ani szkół swoich, ani wolnej praktyki społecznej. Żywe siły narodu wskutek kordonów nierówno obdzielały dzielnice obiegiem krwi. Proces zbierania Polski na wschodzie — niedokończony, przerwany, nawet cofnięty. W starych dzielnicach obniżyła się skala rozwoju, redukując życie do typu prowincjonalnego. Powytwarzały się zboczenia kultur, nieraz bardzo głębokie, wskutek działania odmiennych cywilizacyj, obcych naszej naturze. Przestaliśmy się znać, zabrakło elity, mogącej wyobraźnią i wolą ogarnąć całokształt interesów narodowych. To też po odzyskaniu niepodległości należał się Polsce dłuższy okres rekonwalescyjny, przeznaczony na samoleczenie się, na samowychowanie, samoodnowienie zwiotczałych tkanek, wyrównywanie obiegu krwi i na powolne dojście do samopoczucia się w jedności i samodzielności.

Mojem zdaniem nie w tem zbłądził nasz pierwszy Sejm, że uchwalił Konstytucję, zbyt wiele miejsca dającą dobrowolności społeczeństwa. Twórcy mieli wiele dobrego instynktu wychowawczego, płynącego z miłości narodu i z wiary w jego siły przyrodzone. Wyłoniona zpośród ludzi tej miłości i wiary elita miała pierwszy obowiązek zająć się programem wychowania narodowego i jego wykonaniem. To było bodaj najważniejsze zadanie polityczne w nowej Polsce: dokształcanie społeczeństwa przez ćwiczenie go w samodzielnej pracy nad uregulowaniem stosunków i wypełnianiem luk w kulturze, aby się samo dociągnęło i gospodarczo i moralnie do uzyskanych form życia państwowego.

Przerzucać raczej należy na społeczeństwo robotę, niż odbierać ją, a w wychowaniu kształcić nie stronę formalną stosunku obrzędowego do państwa, lecz charakter obywatelski i wiedzę o zadaniach i interesach narodu.

Byt państwa szukać musi swego oparcia w społeczeństwie aż do podwalin jego życia gospodarczego i duchowego; tak tę rzecz pojmuje wychowanie narodowe. Złą wskazówkę daje moralności publicznej program wychowania, który redukuje zagadnienia do zewnętrznej tresury, do układności wobec władz i pochlebstwa. Spór dzisiaj wynika nie o to, że ktoś nazywa wychowanie państwowem, lecz o to, że to wychowanie pojmuje zbyt płytko i jednostronnie i że wytwarza niepotrzebną antynomję między pojęciami w siebie zachodzącemi.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

SPRAWA OBRZĄDKU WSCHODNIEGO w Kościele Katolickim, organizowanego przez komisję „*Pro Russia*", jest oddawna przedmiotem poważnej troski i niepokoju wśród najszczerszej katolickich i patrjotycznych sfer społeczeństwa polskiego. Omawialiśmy to zagadnienie na łamach „Myśli Narodowej" niejednokrotnie, w szczególności w artykule dr. Karola Stojanowskiego p. t. „W sprawie obrządku wschodniego w Polsce" (w nr. 9 z dn. 21 lutego r. b.). Poruszaliśmy również kwestję tę ze stanowiska interesów religijnych i narodowych wychodźtwa polskiego na wschodzie (w artykule p. Teodora Parnickiego p. t. „Obrządek wschodnio-słowiański a Polacy na Dalekim Wschodzie" w nr. 14 z dn. 15 marca 1931 r.).

Ostatnio ukazała się na tenże temat książka współpracownika krakowskiego „Czasu", dr. Henryka Ignacego Łubieńskiego p. t. „Droga na wschód Rzymu". Wkrótce potem dzienniki zamieściły dekret J. E. kardynała Kakowskiego, zakazujący w podległej mu archidjecezji czytania i propagowania idej, zawartych w tej książce. Jednocześnie „Czas" krakowski opublikował list otwarty senatora z klubu BB, b. ministra w rządzie Rady Regencyjnej, p. Jana Steckiego, który tutaj w całości przytaczamy:

„Z niepokojem, z przykrością, z bólem, przeczytali wszyscy katolicy dekret ks. kardynała arcybiskupa metropolity warszawskiego, dotyczący broszury p. Henryka Ignacego hr. Łubińskiego p. t. „Droga na Wschód Rzymu". Omawia on sprawę, która dla narodu i państwa ma znaczenie pierwszorzędne, uzasadnione całą historją naszych stosunków cywilizacyjnych i politycznych na wschodzie Rzeczypospolitej i oświetla nową tych dziejów fazę nie ze stanowiska wiary, lecz interesu narodowego i państwowego. Żaden światły i gorliwy obywatel nie może traktować obojętnie zagadnienia, które wiąże się najściślej z przyszłością jego ojczyzny: naród polski i Rzeczpospolita nie jest martwym objektem, aby miał przyjmować obojętnie wszelkie robione na jego ciele doświadczenia. Nie może, nie powinien w milczeniu wyczekiwać, kto wie czy nie fatalnych skutków inicjatywy, gdy rozum i sumienie mówią, że tkwią w niej błędy, stwierdzone w przeszłości. Nie może, nie powinien tembardziej, gdy widzi jasno, iż inicjatywa ta do swojej realizacji wymaga czynnego współudziału sił narodowych i państwowych Polski. Oddając hołd wielkiej i szczytnej misji Kościoła na Wschodzie, przyjmując misję tę za swoją z niezachwianą wiarą w apostolskie posłannictwo Kościoła i synowską czcią dla Jego roli dziejowej, mamy przecież prawo i obowiązek wypowiadać się, jak misja ta ma być wykonywana. *Ne quid res publica detrimenti capiat*, Bo osłabienie Polski jest przecież osłabieniem Kościoła, a lubo rozumem doczesnym nie da się zmierzyć spraw boskich, przecież Bóg, nakazując czcić Kościół, nakazał też czcić ojca i matkę. Tu na ziemi naszym ojcem i matką jest Polska: o jej dobro dbać musimy i nie wolno nam zrzec się sądu o doczesnej polityce Kościoła. Jest On nieomylny w rzeczach wiary — może błądzić w taktyce".

Jan Stecki, senator

Zaś „Gazeta Warszawska" (nr. 311), omawiając wymienione wyżej zarządzenie J. E. Kardynała Kakowskiego zaopatrzyła je komentarzem następującym:

„Byłoby z pewnością lepiej, gdyby ks. kardynał był wskazał, co uznaje w książce p. Łubieńskiego za szkodliwe, wpłynęłoby to dodatnio na przebieg dyskusji w sprawie, która żywo interesuje opinję polską i jak to już zaznaczyliśmy, nie zejdzie z porządku dziennego dyskusji politycznej, bo zakaz czytania jednej broszury nie usunie tego, co jest zagadnieniem realnem i żywem.

O zagadnieniu tem wypowiedzieliśmy się na tem miejscu jasno i wyraźnie, zamieściliśmy też głosy w tej sprawie obywateli tych okolic, w których szerzony jest nowy obrządek wschodni. Motywem naszych wystąpień były interesy narodu i państwa polskiego; ponieważ motywy te pozostają w całej mocy, więc i stanowisko nasze nie może ulec zmianie".

GOLGOTA. W dyskusji polsko-żydowskiej o przyczynach i okolicznościach śmierci Adama Mickiewicza zabrał głos na łamach miesięcznika „Droga" (i w odbitce) p. Rafał M. Blüth w rozprawie p. t. „Konstantynopolitańska katastrofa". Trzeba przyznać zgóry, że autor znacznie pogłębił zagadnienie t. zw. „Legjonu Mickiewiczowskiego", potraktowane anegdotycznie i tendencyjnie przez p. Brandstaettera. Sięgnął mianowicie do źródeł mesjanizmu. Mickiewicz w wojnie ówczesnej widział starcie sił ideowych religijnych, ujrzał odwieczny problem Golgoty w kategorjach narodowych.

„Stanęło przed nim zagadnienie żydostwa wobec chrystjanizmu. Odczuwając tragizm niewoli własnego narodu, zestawił losy jego z losami ludu wybranego, co się swego wybraństwa zaparł, a temsamem zarazem sam się wynarodowił, swą osobowość historyczną zatracił. Mickiewicz, stawiając problem chrześcijańskiego rozwiązania odwiecznej „sprawy Izraela“, chciał ją przez ten legjon żydowski czynem zweryfikować... Chodziło w tym wypadku o naturalny, pierwszy etap tragicznego procesu chrystjanizacji żydostwa, o zbratanie żydów z ofiarą krwawą, z ideą samozaparcia się w szukaniu swojej wolności przez walkę o wolność innego, bliźniego narodu“.

Znalazł tylko jednego ucznia, który go uznał, — Levy'ego. Nie zrozumiał idei poza nim nikt prawie, najmniej żołnierze żydowscy. Tej sprawy regeneracji żydostwa nie rozumiał Rotszyld. Ofiary z majątku dla fantastycznego celu bankier europejski czynić nie zamierzał, chciał grać jedynie. Pomysł Mickiewicza dla żydów „był i głupstwem i zgorszeniem naraz“.

„Swoją krew dawać dla obcej sprawy, narażać się potężnej Rosji — to szaleństwo, to głupstwo... Dochodzić do tak „prostego“ zagadnienia, jakiem jest narodowość żydowska poprzez tragiczny nawrót do gorszącego Krzyża, do czasów i spraw już dawno przebrzmiałych... Piękne to może głupstwo romantycznego poety polskiego, a może podstępne szaleństwo renegata Levy'ego. Nikt jednak z Legjonem n i e w a l c z y ł o t w a r c i e. Wystarczała wypróbowana starozakonna metoda przemilczania...“

Plotkę o otruciu — kończy p. Blüth — wymyślili Polacy, wyłgujący się z odpowiedzialności za to, że źle opiekowali się Mickiewiczem. Przykrą dyskusję na ten temat trzeba przerwać.

Zgadzamy się z tym wnioskiem. O to bowiem tylko nam chodziło. Dla opamiętania „Wiadomości Literackich“ przypomnieliśmy, że sprawą owego „legjonu“ zajmowali się nietylko Polacy, ale i żydzi. Zbyt lekkomyślnie skierowano w stronę Polaków haniebne podejrzenie. „Ostrożnie, ciszej nad tą mogiłą!“ — rzekliśmy p. Boyowi. — „Możemy podyskutować“. No i z dyskusji mamy ten pożytek, że jednak ogólne jest życzenie, aby ją... przerwać. Inaczej skończyłoby się na tem, że Polacy zamordowali swego Mickiewicza.

Dowiedzieliśmy się — czytajmy wyżej rozprawę prof. Pigonia — że Polakom oddział żydowski nie wadził, że Zamoyski walczył z Mickiewiczem otwarcie i nie tak zasadniczo, jak żydzi, którzy z nim nie walczyli otwarcie, jak wyznaje p. Blüth, niemniej zasadniczo mu się przeciwstawiali. Niedali się wodzić na Golgotę.

Mickiewicz wznowił na sobie problem Golgoty i Krzyża.

INSTYTUT PROPAGANDY SZTUKI ROZDZIELIŁ SALE: połowę miejsca przeznaczył na naiwność, połowę na spryt. Linję demarkacyjną przestąpić można, jak równik, jednym krokiem. Pół lokalu zajęła „sztuka naiwna“: wystawa twórczości dzieci i „dyletantów“. Tuż obok umieściła się, ciesząca się dużem powodzeniem kawiarnia IPS, wyrugowawszy bez pardonu wszystko jedno, naiwną, czy cyniczną sztukę. Przez jakiś czas w lokalu Instytutu nie było nawet nic innego, oprócz kawiarni. „Biała kawa u artystów“ nęciły ogłoszenia. Zdawało się, że w porze letniej artyści produkują jedynie białą kawę, a Instytut to propaguje. Jakgdyby ze znużenia monotonją tego okresu, pierwszą w sezonie jesiennym wystawę otwarto pod hasłem: „Szukamy nowych talentów“. Ściślej: pokazano już znalezione. Inicjatywa poszukiwań należała do dziennika popularnego, co w tym wypadku poczytać mu należy za rzetelną zasługę. Ankieta „Wieczoru Warszawskiego“ ujawniła niepospolity talent malarski szewca Praclewskiego. Zgromadzone przez redakcję pisma „Płomyk“ prace dzieci w wielu wypadkach zgotowały widzom przyjemne niespodzianki artystyczne. Dobrze się stało, że Instytut skorzystał ze sposobności i wystawił znaleźne obrazki. Dla Warszawy oznaczały one o wiele więcej, niż pokaz nowych talentów. Zmusiły wielu do zastanowienia nad istotnem dla sztuki zjawiskiem „naiwności“. Wszelki żart odkładając na stronę, powiedzieć trzeba, że mało która wystawa tyle nasuwała poważnych refleksyj, co ten pokaz „sztuki naiwnej“.

CYKL „WARSZAWA“ PRACLEWSKIEGO, wystawiony w Instytucie Propagandy Sztuki, to pokaz nacjonalizmu, zachwycający konsekwencją. Chwalono malarza - szewca za różne zalety, których nie ma. Podziwiano odwagę, zdumiewano się, że oto umysłowość artysty, liczącego sobie dobrą sześćdziesiątkę, znajduje się jeszcze w fazie dziecięcego okresu „ideoplastycznego“... To wszystko wcale nie jest godne podziwu. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Praclewski nie uczył się rysunków w szkole (albo uczył się krótko); cały sekret, że dwójkami nie oduczono go ideoplastyki. Nietylko jednostki, ale stare narody i cywilizacji izolowane mogą bardzo długo trzymać się konwencyj „dziecinnych“. Nie trzeba do tego wcale „odwagi“. I nie w „prymitywizmie“ leży wartość obrazów szewca warszawskiego. Konwencje malarskie nie mówią prawie nic o ogólnej kulturze umysłowej. Pod tym zaś względem twórca „Cechów“ i „Wniebowstąpienia“ to nie żaden prymityw, lecz prawy dziedzic cennych wartości średniowiecznej cywilizacji polskiej i europejskiej. Fizyka jego może naiwna, lecz metafizyka wysoka. Nie przeglądał zapewne szewc - malarz numerów „*Studio*“, nie wertował „*Dekorative Kunst*, nie podróżował, nie chodził do IPS. ale chodził na „Hamleta“, czytywał Mickiewicza i Słowackiego, myślą często był, jak wielu rówieśników — rodaków, koło Napoleona... Zainteresowania umysłowe miał rozległe, ale horyzont opisany granicami Warszawy. Z Praclewskim doszła do głosu sztuka miejska, jakiej tak wspaniały rozkwit przed wiekami widziano we Flandrji, we Włoszech. Myśmy takiego okresu nie mieli. Nie mieliśmy artystów, coby świat — i zaświaty — wyobrażali sobie podług urządzeń rodzinnego miasta. Praclewski zaskoczył nas konsekwencją swej wyobraźni warszawiaka. Pokazał, jak w niebie na harfach grają fryzjerzy, anielice paradują w żółtych swetrach. Przy całej rozległości swych horyzontów umysłowych, świata nie wyobrażał sobie inaczej, jak Polskę, jak Warszawę. W kompozycjach uprzytomnił, jaką rolę prawdy żywej ma ideologja „banałów narodowych“ w duszy rzemieślnika, jaką wartość symbolu mają dla niej sztandary cechowe. Przypomniał nam znów hasła wszechstanowe i wszechpolskie we własnej wersji poetyckiej.

Konkretem swojej wizji zawiadomił, jak czysta jest dusza polska w „dole“, gdy „góra“ zaniesiona tak często śmieciem obcem. Zawiadomił w porę. Brud ghetta nietylko rozpościera się na ulice naszych miast, lecz (dzięki inteligencji polsko-żydowskiej) zamazuje także nasze wyobrażenia o życiu polskiem. Żyd reporter informuje inteligen-

cję o tem, co myśleć o polskim ludzie: „W strasznych mieszkaniach straszni mieszczanie“. W dzisiejszym zamęcie pojęć niejeden pięknoduch Polak gotów wierzyć informacjom w stylu pseudo-poetyckiego reportażu Tuwima. Potrzebna była dziś ta wiadomość autentyczna o duchowym świecie polskiego mieszczanina - rzemieślnika, której udzielił Praclewski.

NAUKA I LITERATURA

Z INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W TORUNIU

INSTYTUT Bałtycki w Toruniu, znany po całej Polsce ze swej ruchliwej i ważnej działalności, zamknął właśnie z r. 1932, pięć lat pracy. Dyr. Józef Borowik utrwalił ten jubileusz sprawozdawczą broszurą, w której ocenił program, dokonania i najbliższe zamierzone przedsięwzięcia instytucji.

W sprawozdaniu owem rozglądamy się uważnie i z ciekawością. Instytut Bałtycki zdobył już rangę właściwą w bieżącem życiu polskiem. Znaczna doniosłość narodowa i polityczna zapewniła akcji tej placówki całkowite zrozumienie społeczeństwa. Echa niemieckie, które raz po raz po tamtej stronie granicy wywołuje działalność Instytutu, starczą w zupełności za ocenę wagi i znaczenie pracy podjętej.

Publikacja J. Borowika, daleka od frazesów i jubileuszowych deklaracyj, przedstawia cenny materjal faktyczny, z którego warto tu podać kilka szczegółów.

Zadanie tej pracy tak oto określa paragraf statutu. „Instytut Bałtycki ma za cel badanie stosunków gospodarczych, politycznych, narodowościowych i t. p. wybrzeża bałtyckiego pod kątem widzenia związanych z niemi interesów polskich“. Od początku swej działalności zmierzał Instytut do zorganizowania systematycznych studjów nad zagadnieniami pomorskiemi. Wydawnictwa Instytutu, cieszące się ustaloną opinją i wzięciem, są świadectwem rezultatów osiągniętych oraz wskazują wymownie na żywe stosunki, nawiązane ze światem naukowym. Dotychczasowy bilans wydawniczy sięga 36-u pozycyj księgarskich, w tem 10 okazałych tomów „Pamiętnika Instytutu Bałtyckiego“ dużej istotnie wartości. Nadto 62 komunikatów, przeznaczonych m. in. dla prasy, informujących rzeczowo o publikacjach polskich i niemieckich w zakresie zagadnień pomorskich. Wśród współpracowników naukowych Instytutu znalazło się obecnie przeszło 90 osób, przeważnie profesorów polskich szkół akademickich, których nazwiska są miarą podejmowanej pracy badawczej.

Wogóle zaznaczyć należy, że Instytut stał się ośrodkiem organizacyjnym systematycznej pracy naukowej. Rozmaite formy tej organizacji — konkursy, nagrody, odczyty, zjazdy — rozszerzają wybitnie zasiąg zainteresowań placówki, dążącej do zebrania źródłowych danych o wszystkich stronach życia Pomorza i—w pewnej mierze — Prus Wschodnich

Agendy Instytutu walnie przyczyniają się do realizacji programu. Powołany niedawno dział informacji naukowej walczy pod kierunkiem d-ra. R. Lutmana, z propagandą rewizjonistyczną, wrogą Polsce, prowadzoną przez literaturę naukową niemiecką. Oddział Instytutu w Gdyni organizuje systematyczne badania naukowe w dziedzinie polskiej ekspansji morskiej oraz specjalnych zagadnień geograficznych.

Instytut Bałtycki, świadomy swych dokonań, nie zamyka wszakże oczu na niektóre uchybienia organizacyjne. Dyr. Borowik oświadcza: „Pod znakiem.... naprawy ustroju wchodzimy w nowy okres pracy — dążąc do powierzenia Korporacjom naukowym kierownictwa.... spraw Instytutu oraz do przejęcia opieki materjalnej i zapewnienia ciągłości bytu przez samorząd krajowy“.

W sprawozdaniu obecnem cały rozdział poświęcono omówieniu zadań niespełnionych. Oczywiście, dla dobra sprawy polskiej, życzyć należy instytucji jaknajmniej owych deficytów — na pięciolecie następne.

Zamykając sprawozdanie J. Borowika, rzućmy jeszcze okiem na karty końcowe, przynoszące ważne załączniki i materjały. Szczególną uwagą zwraca tu obszerny referat d-ra Lutmana, pełen szczegółów o niemieckich instytutach naukowo — badawczych, ich organizacji i działalności, bliskiej działalności Instytutu.

Ze spisu osób, biorących udział w pracy naukowej Instytutu, dobywamy przykładowo kilka nazwisk uczonych, które budzą rezonans właściwy po całej Polsce. Idei owej m.in. służą profesorowie: Fr. Bujak, J. Bystroń, R. Dybowski, Wł. Konopczyński, L. Krzywicki, St. Kutrzeba, K. Nitsch, E. Romer, W. Sobieski, K. Tymieniecki, Z. Wojciechowski... lecz trudno przepisywać całą listę.

Zwięzłe sprawozdanie dyr. Borowika popularyzacji Instytutu oddać może cenne usługi.

Wraz z broszurą J. Borowika doszło nas kilka nowych wydawnictw Instytutu, którym należy się słowo bodaj wzmianki. Są to odczyty, wygłoszone w Gdyni, w r. 1931/32, z cyklu „Światopogląd morski“. Wacław Olszewicz przedstawił ważne zagadnienie ekonomiczne: „Węgiel i morze“. Bożena Stelmachowska, autorka doniosłej pod względem naukowym ankiety etnograficznej „Rok obrzędowy na Pomorzu“, której ogłoszenia niecierpliwie oczekujemy, oceniła w zwięzłym skrócie „Stosunek Kaszub do Polski“. Ukazawszy w perspektywie historycznej „Kwestję Kaszubską“, autorka zatrzymała się dłużej na języku i kulturze ludowej Kaszubskiej, streszczając w ścisłej korelacji z etnografją Polski dotychczasowe wyniki naukowe.

Antropolog Kazimierz Stołyhwo charakteryzuje aktualne dziś „Zagadnienie rasy nordycznej w nauce i polityce“. W chwili gdy problemy antropologiczne, dyskutowane przez J. Czekanowskiego, K. Stojanowskiego i in. atrakcyjnością swą pociągają koła coraz szersze, publikacja K. Stołyhwy wzbudzi niewątpliwie zainteresowanie

Doskonale również spełni swą misję dobrze pomyślana broszura propagandowa: „Dziesięcioro o Pomorzu“, informująca w skrócie najbardziej syntetycznym o kompleksie spraw bałtyckich.

Działalność Instytutu nasuwa niejeden problem szczegółowy. Pracom badawczym placówki, rozwijającym się coraz sprwniej w kierunku „nauki stosowanej“, należy się czujna uwaga opinji powszechnej, tak bardzo ku morzu zwróconej.

Lektura wydawnictw Instytutu aktualizuje szereg zagadnień naukowych, dobywa długie wątki uwag ogólniejszych, nastawia i prostuje rozwagę polityczną czytelnika.

Niema oczywiście na to wszystko miejsca w przygodnej notatce informującej. (T. M.)

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Bliska już setki, a zasłużona długą pracą nad przeszłością swego miasta „Bibljoteka Krakowska“ wystąpiła niedawno z dziełkiem syntetycznem w dwóch tomach: „Kraków w XIX wieku“. Wywodzi się owa publikacja ze znanej powszechnie podwawelskiej atmosfery: Kult dla dziejów minionych nigdzie nie przejawia się tak silnie, jak właśnie tu.

Nieraz jeszcze powrócą historycy życia polskiego do genezy i oceny interesujących i ważnych zagadnień, jakie narzuca rozwój ruchu umysłowego w Krakowie. I nieraz staną zaciekawieni w obliczu wielości czynników kulturalnych, które składają się na wielki ów kompleks uczuciowy: Kraków. W strukturze myślowej Krakowa miejsce osobliwie ważne zajmuje pietyzm dla dziejów miasta, tkwiący w silnych nawarstwieniach emocjonalnych o długiej tradycji. To też historja żadnego miasta u nas nie jest opracowana tak troskliwie i pieczołowicie, jak właśnie historja — niebylejaka — Krakowa. Wydawnictwo, z którego zdajemy sprawę, jest jednem tylko ogniwem w łańcuchu krakowskich dokonań naukowych.

W tomie I-ym zbiorowej tej monografji znalazły się prace, oceniające polityczną, gospodarczą, społeczną przeszłość Krakowa. Adam Chmiel rozważył jego ustrój prawny,

zatrzymując się dłużej na działalności prezydentów miasta. Klemens Bąkowski przedstawił rozwój gospodarczy Krakowa w ostatnich stu latach. Wreszcie p. Zofja Adamowa Krzyżanowska omówiła rolę, zasiąg i wyniki społeczne dobroczynności w Krakowie.

Tom II-gi, oddany podobnie w ręce gruntownych referentów, kreśli kulturalną przeszłość miasta na przestrzeni XIX-go stulecia. Mieczysław Niwiński szkicuje rozwój nauk, Feliks Kopera pomieszcza zwięzłe informacje o sztuce krakowskiej, Tadeusz Sinko ocenia literaturę piękną, zamkniętą w granicach lat stu dwudziestu. Obszerna rozprawa Adama Bara przedstawia interesujące dzieje teatrów krakowskich. Wreszcie Józef Reiss wydobył ciekawe szczegóły z historji muzyki w Krakowie. Wszystkie owe rozprawy, jakkolwiek bardzo niejednolite pod względem metody opracowania, zawierają wiele materjału kulturalnego znacznej wagi; nie będą też obojętne szerokim kołom miłośników Krakowa — poza Krakowem.

Doskonały wstęp zagajający p. t. „Znaczenie Krakowa dla życia narodowego polskiego w ciągu w. XIX-go", wyszedł z pod wytrawnego pióra Stanisława Estreichera. Żywe zadowolenie z powodu tej pracy wyraził już historyk (St. Szpotański w „Kurjerze Warszawskim") i historyk literatury (Br. Gubrynowicz w „Ruchu Literackim"). Studjum Estreichera, który chętnie nieraz porzuca umiejętności prawne, szukając wczasów humanistycznych, stanowi dokładnie przemyślaną, wszechstronną i bardzo zwartą syntezę życia krakowskiego we wszystkich jego przejawach. (T. M.)

*

Jednym z warunków przezwyciężenia kryzysu rolniczego jest zwrócenie przez nasze rolnictwo uwagi na gałęzie produkcji, dotychczas przez nie zaniedbane. Z nich jedną z ważniejszych jest hodowla owiec. Dlatego z uznaniem należy powitać wydaną przez Wielkopolską Izbę Rolniczą książkę p. t. „Produkcja i handel wełną w Polsce na tle konjunktur światowych" (Poznań 1931 r. str. 163). Część pierwsza poświęcona jest czynnikom geograficzno — gospodarczym w światowym chowie owiec. Część druga omawia produkcję i handel światowy wełną i mięsem owczem. Wreszcie część trzecia dotyczy produkcji i handlu wełną i innemi produktami owczemi w Polsce. Książka powyższa jest niezbędna dla każdego, kto zajmuje się sprawami rolniczemi, w szczególności zagadnieniem hodowli owiec. (J. P.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„Marie - des - Angoisses" (*Les Editions des France*). Pod tym to dosyć dziwnym tytułem wychodzi ostatnia powieść Marcel Prévost. Niemniej zresztą szczególny jest i jej temat. *W collège* jezuickiem Tivoli, znajdującem się w Bordeaux, jest wychowywany młody Hiszpan, Ramon Ortès, którego bogata i arystokratyczna rodzina karlistów zmuszona została emigrować do Francji. Ramon posiada dwóch przyjaciół: Jana de Quersac oraz autora tej powieści, t. j. samego Marcel Prévost, wychowanego również u Jezuitów. To *trio* uczniów, przezwało się *„semper tres"*. To też na wakacje udają się raz do rodziców jednego, a raz do drugiego.

W zamku podupadłych de Quersac żyje stary markiz i jego żona, która była piękną za czasów drugiego cesarstwa. Jeszcze jednak i teraz markiza de Quersac jest bardzo zalotna i stara się kokietować kogo może, bo nawet przyjaciół swego syna... W luksusowej znowuż posiadłości rodziców Ramona Ortès, gdzie panuje etykieta niemal hiszpańskiego dworu, znajduje się jego młoda siostra Maria de las Angustias, która od lat dziecinnych zdradzała temperament autokratki, jaki narazie może jedynie okazywać swemu wiernemu Paco, towarzyszowi jej konnych harców.

Ramon, którego autor tej powieści odmalowuje w kolorycie poniekąd el Greco, pragnął gorąco, by jego ulubiony towarzysz Marcel Prévost poślubił Marie des Angoisses. W ten sposób przy ognisku siostry ukochanej i przyjaciela myślał on i dla siebie znaleźć rodzinne ognisko. Los tymczasem zrządził inaczej. Marie-des-Angoisses poślubiła Jana de Quersac. Małżeństwo to jednak nie będzie szczęśliwe; Jan kocha zrazu swą żonę, ale nie omieszka niebawem poświęcić jej dla byle jakiej dziewczyny w Bordeaux. Stara markiza robi zresztą co może, by syna odciągnąć od żony; sprzedaje nawet swą biżuterję, by mu dać pieniądze na hulanki niegodne. Nienawidzi bowiem synowej i chce za wszelką cenę zrujnować szczęście Hiszpanki. Z łatwością dopina celu. Jan de Quersac zostaje zamordowany w jednym z najbardziej podrzędnych lokali, uczęszczanych przez marynarzy. Rodzina Marie des Angoisses pragnie uśmierzyć ten skandal, ale nie zajmuje się nią samą. Okoliczności sprawiają, iż w tym właśnie czasie udaje się do Armagnac, t. j. w pobliżu zamku de Quersac, p. Marcel Prévost, znany już ogólnie jako powieściopisarz i autor dramatyczny. Tam to odnajdzie go po 20 latach rozłąki Ramon Ortès, który wstąpił do zakonu Jezuitów. Jeżeli jednak przybył do tej prowincji Armagnac i zawitał do towarzysza lat młodzieńczych, to dlatego, iż pragnie zbawić duszę swej siostry, jaka w swej dumie i pysze a także i cierpieniu, nikogo, nawet z własnej rodziny nie chce dopuścić do siebie.

Najrozmaitsze zaś wieści krążą o prowadzeniu się Marie des Angoisses: większość przypuszcza, iż jest ona kochanką swego intendenta Paco. Ten bowiem ostatni zasiaoa codziennie za stołem, na miejscu pana domu, a obok markizy de Quersac, którą choroba zupełnie unieruchomiła, a której umysł pozostał zawsze żywy. I oto na prośby Ramona, Marcel Prévost udaje się do zamku de Quersac. Bierze udział w posępnym obiedzie, widzi Paco, ale dowiaduje się także, że Marie des Angoisses jest zupełnie niewinną, a jedynie grała komedję, by w ten sposób zemścić się na swej teściowej, głównej przyczynie jej małżeńskiego nieszczęścia.

Marie des Angoisses za namową Marcel Prévost godzi się na zobaczenie brata Ramona. Pozornie tutaj zapada zasłona na życie Marie des Angoisses. A jednak nie. W dwadzieścia lat bowiem później, autor tej powieści, zwiedzając Hiszpanję, rozpoznaje w chórze zakonnic znane mu *contralto*... Marie des Angoisses.

Czyż potrzeba dodawać, że ten dramat przyjaźni i miłości został opisany z niezrównanym talentem i znajomością psychologji, właściwą tylu innym powieściom Marcel Prévost. (I. B.)

*

„Piatiletka" rosyjska może się już poszczycić bogatą literaturą w różnych językach świata. Oświetlenie jej z punktu widzenia socjalistów rosyjskich, będących na emigracji, daje książka Jugowa p. t. „Piatiletka". Autor przyznając, że w szeregu dziedzinach życia gospodarczego „piatiletka" może poszczycić się nawet dużemi sukcesami, okupionemi co prawda niesłychanie ciężkiemi ofiarami ze strony społeczeństwa, nie uważa „piatiletki" za realizację programu gospodarki planowej i za urzeczywistnienie zasad socjalistycznych. Książka zawiera dużo materjałów statystycznych. (J. P.)

*

Państwo ma szereg środków, przy których pomocy może wpływać na życie gospodarcze. Do nich należy również oddziaływanie na życie gospodarcze przez odpowiednie ukształtowanie podatków. Zagadnieniu temu poświęcona jest rozprawa Dory Schmidt *„Nichtfiskalische Zwecke der Besteurrung"*. Autorka oświetla zajmujące to zagadnienie zarówno z punktu widzenia teoretycznego, jak i praktycznego. (J. P.)

TEATR

„CAR IWAN"

(Dramat Aleksego Tołstoja
w przekładzie Stanisława Miłaszewskiego)

WDZIWNY świat przeniosło widzów przykuwające uwagę widowisko historyczne w teatrze Narodowym. Uprzytomniło zarówno bajeczność egzotycznej postaci Iwana Groźnego, jak bajeczność i niezwykłość dziejów Polski, z których ukazano nam na scenie, widzany od strony rosyjskiej, odległy, a przecież nie odległy epizod.

Iwan kończył ową walkę ze stepem, w której uległo przed wiekami państwo kijowskie. Ujarzmił lub zdobył dla Rosji obszar kazański, astrachański, Syberję. Zaprowadzał policję stepu, która na długo, bo prawie po dziś dzień zabezpieczyć miała Rosji bezpieczeństwo od wschodu. A przecież fenomenalne państwo, którego władztwo tak utrwalał, z ducha rządów, z obyczajów życia publicznego było państwem tatarsko - mongolskiem. Sposoby rządzenia przejęło właśnie od swoich najniebezpieczniejszych wrogów, i przerobiło, stosownie do owych metod, dusze poddanych. Nieskończenie odrębnym tworem była Polska. Właśnie tym dwom, niezmiernie różnym potęgom sądzone było popaść w katastrofalny konflikt dziejowy. Polska odniosła zrazu szereg wielkich zwycięstw, potem, w dalszym biegu dziejów omal nie doszło do zniszczenia cywilizacji polskiej, tak dumnej, tak wspaniałej, tak atrakcyjnej — za Batorego czy Zygmun-

ta III. Czyż nie dziwny, czy nie omal niewiarygodny bieg dziejów? W jakiej mierze Polacy dzisiejsi, co tyle z kolei nauczyli się i przejęli od Moskwy, i teraz nie umieją państwa urządzić sobie całkiem po swojemu, w jakiej mierze czują się synami owej potęgi, co zwyciężała i upokorzyła Groźnego?

Pytanie takie mimowoli cisnęły się do głowy, gdy się patrzyło na suggestywne widowisko, dopomagające wyobraźni, i stawiające przed oczy barwne mary dziejów. Trzeba przyznać, że oklaski, jakiemi publiczność powitała przemówienie Haraburdy, będące pochwałą dumnej cywilizacji republikańskiej, zabrzmiały spontanicznie, zaświadczyły, że bliski odczuciu ludzi dzisiejszych jest ten zagubiony chwilowo styl myślenia.

Tołstoj tę obcą *manière de penser* odwzorował (w scenie przyjęcia posła polskiego na carskim dworze) — wcale wiernie. W dramacie swoim, skrojonym na modłę historycznych dramatów Szekspira, szedł wiernie za dziejopisem Karamzinem, dokonywając tylko selekcji scen, nigdzie zaś, jak się zdaje, nie gwałcąc prawdy historycznej. „Przystępujemy do opisania godziny uroczystej i wielkiej...“ — pisze Karamzin. „Widzieliśmy życie Jana [1]), zobaczymy koniec onego, równie zadziwiający i pożądany dla ludzkości, lecz straszny dla wyobraźni... Możnaż wierzyć w nieśmiertelność, nie zlęknąć się takiej śmierci?.. Ta groźna godzina, którą oddawna przepowiadały Janowi i sumienie, i niewinnie cierpiący, spokojnie zbliżała się do niego, chociaż jeszcze nie doszedł ciążącej starości, jeszcze był śmiałym w duchu, szybkim w popędach serca. Jan, mocnej budowy będąc, spodziewał się długoletności; lecz jakaż moc fizyczna jest w stanie oprzeć się srogiej walce namiętności, burzących posępne życie tyrana? Ciągłe drżenie gniewu i bojaźni, wyrzuty sumienia bez żalu, obrzydłe popędy gnuśnej lubieżności, męczarnie wstydu, gniew bezsilny w niepomyślności oręża, nakoniec piekielna kara ojcobójstwa, zniszczyły siły Jana... Natenczas pokazał się kometa“... Oto atmosfera, w którą wprowadza widza także dramat Tołstoja, będący, jak wiadomo, pierwszą częścią trylogji, zamkniętą zresztą i noszącą tytuł „Śmierć Iwana Groźnego“. Autor, jak powiedzieliśmy, starał się wiernie iść za historykiem, ścisły jest nawet tam, gdzie Iwan każe swoim posłom do Batorego znieść pokornie zniewagę, jeśli na dworze polskim ich uderzą. Oto co o tem pisze Karamzin: „Jan, coraz bardziej grzeczny, w liście swoim nazywał Stefana b r a t e m..., posłał także natychmiast dworzan rady Puszkina i Pisemskiego, którym zalecił, aby nietylko byli spokojnymi i powolnymi podczas układów, lecz nawet (niesłychane upodlenie!) znosić, jeżeli będą bici“.

Udramatyzowaną kroniką Tołstoja teatr Narodowy godnie otworzył sezon jesienny. Publiczność więcej, niż z zainteresowaniem i z napięciem, nawet przytajając oddech, śledziła perypetje losu bohaterów na scenie. Bił od tego widowiska mocny egzotyzm. W tradycjach teatrów polskich leży doskonałe wystawianie sztuk rosyjskich; pewno nigdzie indziej w Europie nie gra się ich tak dobrze. Dekoracje stylizowane Frycza — nieraz bardzo dobre; złotogłów i aksamity strojów bojarskich znakomicie odcinały się od ścian i wnętrz, razem zaś składało się to na wspaniałej barwności efekty. Z tła tego jasno, raz po raz błyskał odrębnym blaskiem wiersz Miłaszewskiego... Tak oswoiliśmy się ze świetnością słowa u tego poety, że gotowiśmy już oczekiwać tej zalety jak czegoś zupełnie naturalnego; a potem słuchamy, i nanowo jesteśmy olśnieni. Przystosowując dramat Tołstoja dla sceny polskiej, tłumacz znakomicie odpowiedział zadaniu. Z podziwem widziało się, jak ten dźwięczny wiersz nigdy akcji dramatycznej nie spóźniał, lecz kojarzył się z nią swem żywem tętnem.

[1]) T. j. Iwana. Cytujemy za przekładem Grzegorza Buczyńskiego, Warszawa, 1826.

Niemały trud wzięli na siebie artyści teatru Narodowego, których zadaniem było uprawdopodobnić na scenie te postacie z innego świata i z przed wieków. Junosza Stępowski, kreujący postać centralną, największe miał trudności i niebezpieczeństw do przezwyciężenia, lecz na całej linji wyszedł obronną ręką. Ani na chwilę nie wpadł w styl melodramatu; nieraz natomiast osiągał trjumf sztuki scenicznej: stwarzał złudę. Znakomity był często w tonie głosu i geście. Ucharakteryzowany wybornie, wyglądał chwilami, jak postać wyjęta z obrazu Riepina.

Wizję sceniczną Godunowa zawdzięczamy Węgrzynowi, który dał kreację równorzędną. W roli posła polskiego Haraburdy zbierał zasłużone oklaski B. Samborski. Ale i cały zespół: Lindorfówna, Zielińska, Jarszewska, Gawlikowski, Wroncki, Burzyński, Janusz, Skarżyński, Hnydziński, Socha, Szachowski, Ziejewski, Małkowski, Wojciechowski, Strycki, Jarszewski i in. — grał koncertowo. Wszystkim należy się wdzięczność widza za wieczór w teatrze Narodowym.

W. J. C.

ROSTAND W TEATRZE POLSKIM

Teatr Polski wznowił Cyrano de Bergerac'a z p. Marjusze̜m Maszyńskim w roli głównej. Przed ośmiu laty grał ją w tym teatrze p. Jerzy Leszczyński. Roksaną była p. Pancewiczowa, teraz jest p. Romanówna. Nowe dekoracje (p. Drabika), nowy układ, nowa reżyserja (p. Węgierki), nowe efekty, dodano wiele muzyki (p. Maklakiewicz). Przekład, jak dawniej, Konopnickiej, Zagórskiego i Łaszczyńskiego. Całość wypadła wspaniale. Stwierdzono jednak, że nadano jej charakter zbyt rewjowy, bez poczucia romantycznego, które było jeszcze dostępne pokoleniu poprzedniemu, zarówno samemu Rostandowi, jak i teatrom polskim z czasów świetności Frenkla, Żelazowskiego, Chmielińskiego.

Komedja bohaterska Rostanda zachowuje swoje wartości teatralne dzięki doskonałej robocie literackiej. Święci w niej trjumf rzemiosło jubilerskie, zastępujące umiejętnie drogocenności naturalne genjuszu wyrobem imitującym, ale pełnym smaku i poczucia stylu. Taka kolja pięcioaktowa zdobi godnie pierś nowożytnej literatury francuskiej.

Złożyły się na nią najlepsze tradycje francuskiego teatru i nowożytny dowcip literacki, polegający na wytwarzaniu aljażu, który wygląda jak złoto, a jest mieszaniną naturalnej poezji czynu bohaterskiego ze świadomością artyzmu formalnego, narzuconą bohaterowi przez literata, który czyny opiewa. Niby że czasy bohaterskie tworzą z ludzi czynu świadomych swego piękna artystów. Te czasy robią z pasztetnika mecenasa poezji, którego dramatem jest, że musi zawijać ciastka w rękopisy poetów. One też nie pozwalają dziewczynie iść prosto za popędem serca, bo już ma duszę zasnobioną na frazes, pozę i gest; więc dramatem kochanka jest, gdy nie umie pisać wierszy i listów literackich. Bohater w pojedynku improwizuje triolet. Że w końcu nie wiadomo, czy życie bohaterskie rodzi sztukę poetycką, czy też ta sztuka daje czynom bohaterski ton i pióropusz.

Sztuka wkracza do kuchni i do alkowy, staje się czemś niesamowitem. Więc gdy w akcie trzecim Bergerac organizuje scenę balkonową dla swego rywala, wbrew prawdzie serca swego, aby tego rywala wepchnąć do alkowy ukochanej, — scena przypomina Mefista, Fausta i Małgorzatę. Ten szatan daje Faustowi nie młodość, lecz literackość. Słowo uwodzi zmysły.

Gdyby ktoś kazał Rostandowi wytłumaczyć się w rozprawie naukowej z takich koncepcyj, byłby w kłopocie. Ale w teatrze posługuje się dowcipnie tym aljażem, ślicznie wyzłoconym, wiedząc, że weźmie publiczność podwójnym atakiem na serce i literacką imaginację. Nie wiadomo gdzie krew, gdzie atrament; gdzie się śmiać, gdzie płakać. A jednak dzieje się to ze słuchaczem, czego chce Rostand, to jest prawdą, czego chce. Na tem polega jego talent dramatyczny i retoryczny.

Aktor w roli Bergeraca ma się gdzie rozpostrzeć. Aktor polski będzie miał zawsze pewną trudność w rywalizowaniu z artystą francuskim o finezję, ma jednak możność zasilania postaci sentymentem i muzyką słowa. P. Maszyński bardzo inteligentnie się orjentuje, nie jest jednak retorykiem z wiolonczelą w krtani. Potoczyście śpiewny przekład utworu nie zawsze brzmiał popisowo. P. Romanówna, pp. Fabisiak, Niewiarowicz, Pawłowski tworzyli bardzo dobry zespół partnerów p. Maszyńskiego.

Publiczność z zadowoleniem wsłuchiwała się i wpatrywała w piękności obrazów.

Z. W.

OFENSYWA

„ON I JA“ I PROF. ZDZIECHOWSKI

W „Rozprawach“ swoich, wydanych w r. 1869, pisze Karol Libelt, wielkopolski działacz, filozof, polityk i rewolucjonista z r. 1848 o odwadze cywilnej na Zachodzie a w Polsce to, co następuje:

„Ale odwaga chce wypiętnowanego charakteru i nie zmieści się w małej piersi nietoperzów politycznych. Kto dwom opinjom sprzyja, ten nie ma żadnej, bo przekonanie jest tylko jedno i miłość prawdy jedna... Płaszcz sukienny nosi się na dwóch ramionach, ale płaszcz moralności politycznej tylko na jednem ramieniu zarzucony być powinien, od strony serca...

Gdzie zatem idzie o sprawę publiczną, o dobro kraju, niech tam nigdy nie stawają obywatele, co ani są ciepli ani zimni, co z tą i z tą stroną trzymają i czy to przez złość jakąś umysłu czy też przez wzgląd na jakieś własne widoki, radziby i tu i tam być dobrze“.

Prof. Marjan Zdziechowski z uniwersytetu Batorowego w Wilnie, wydał nowe rozmyślania nad Bonapartyzmem, dyktaturą, moralnością w polityce, sumieniem władcy, opinją publiczną, obowiązkami opozycji, doktryną gwałtu, rolą Elity, militaryzmem, absolutyzmem, obezwładnianiem społeczeństwa, *fair play, correctness*, polityką jako grą fałszywą (to jest grą fałszowanemi kartami), zatruciem *psyche* narodowej i groźnemi konsekwencjami dla państwa *dopo Mussolini*, gdy Batorego „nie stanie“.

Widocznie mocno ten problem niepokoi i odbiera sen rzetelnie patrjotycznemu myślicielowi - odludkowi. Ostatnio pretekstem do wypowiedzenia się ze swemi skrupułami i wątpliwościami była obrona... Napoleona III przed twardym werdyktem tych, którzy osądzają Sedańczyka nie z fragmentów władztwa, niekiedy bardzo dodatnich, a z jego genezy odrażającej, z karjery bezwstydnemi sposobami osiąganej i z upadku sowicie zasłużonego. Taki regent musiał tak sromotnie kapitulować; tym razem Opatrzność wybrała za narzędzie immanentnej sprawiedliwości dziejowej germańską *manus militaris*. Aby się to nie powtórzyło w przyszłości, trzeba Napoleona III prezentować takim, jakim był w całokształcie i od wewnątrz, nie dając się uwodzić urokom sympatycznego *gentleman'a*, męczennika, Menelausa lub zgoła „przyjaciela Polaków“, *recte* pięknych pań z „Oukrainy“. Wybielanie tego Napoleonidy jest, zdaje się, pomysłem zdrożnym i lekkomyślnym wobec tego, że Niemcy z r. 1932 są tymi samymi Niemcami co Niemcy z r. 1869 i 1870.

Obecnie oplata się bluszczowo prof. Zdziechowski koło postaci... Chateaubrianda. Było do przewidzenia, że z całej galerji antagonistów „Boga Wojny“ wybierze sobie chyba tylko tę wykwintną figurę. Nie żadnego z twardych generałów ani z dyplomatów zawistnych, ani panią Staël (za... rozpustna...) ani Constanta (za problematyczny), ale właśnie Chateaubrianda. I tak się też stało. Prof. Zdziechowski, obchodzący pięćdziesięciolecie swej pięknej, szlachetnej, zawsze szczerej, zawsze solidnej, zawsze skroś europejskiej pracy pisarskiej, musiał w tym momencie swego duchowego żywota natknąć się i zatrzymać przy autorze „Athali“ i „Genjuszu Chrześcijaństwa“. Tyle przecież podobieństwa, tyle analogij, tyle tożsamości w ustosunkowaniach i w sytuacjach, że można było przebaczyć i przejść do porządku dziennego nad tym „genjuszem“ romantyczności... kabotynizmem, dandyzmem, egocentryzmem, megalomanją prześladowczą, pozerstwem, sybarytyzmem i kobieciarstwem już wprost obsessjonalnem i ośmieszającem. Po świetnej psychoanalizie Maurrasa znamy tego zaflirtowanego świętoszka już najdokładniej. O, jakże ułatwione życie miał Buonaparte (największy z „włamywaczów w historję“), widząc przeciwko sobie omal samych erotomanów i same nymfomanki... Chateaubriand to nie jest postać, któraby dziś mogła imponować lub upajać. To nie jest żadna „*virtus romana*“ i *conquistadora* - awanturnika antagonista groźny czy niebezpieczny. To był tylko lord salonów opozycyjnych, uczony myśliciel dla... Faubourg Saint-Germain. Nie cierpiał, nie znosił rewolucji jako rzeczy niesmacznej, hałaśliwej i zanadto operującej... gilotyną. Wdzięczny był konsulowi, że spętał „hydrę“ i przywrócił, wprowadził ład, proporcję, hierarchję, dyscyplinę. „Zraził się“ zaś do Napoleona za „ordynarne“ i niepotrzebne sprzątnięcie księcia d'Enghien. To też i Napoleon nezbyt... tragicznie traktował nieprzyjaźń tego wytwornego „literaty“. Kilkakrotnie proponowano mu nawet to dygnitarstwo, to „misję“, to członkostwo Akademji, a niedochodziło do harmonji i ugody wskutek błahych raczej szczegółów. Chateaubriand przeciw cesarzowi napisał właściwie dwa pamflety historycznej wagi i miary, pierwszy w r. 1808 w „*Mercure*“, drugi w r. 1814, kiedy już się wszystko chwiało. Ten drugi był znacznie gwałtowniejszy w tonie, gdyż traktował Buonaparta jako cudzoziemca, przybłędę, uzurpatora który „systemem swych rządów demoralizował Francję“, „jako administrator ją wycieńczał“, jako „polityk zgubił“. Pomimo tak surowych akcentów ani go Cesarz nie wyprawił na wygnanie jak... Constanta, panią Staël i innych, ani też nie wysłał na niego swych zbirów. Salonowego malkontenta traktował delikatnie i w rękawiczkach. O autorze „Renégo“ wyrażał się nie tak jak o autorze „Adolfa“, to jest z pasją i zaciśniętemi zębami, jeno oględnie, pobłażliwie, prawdopodobnie zażywając tabakę i... ziewając. Wie się dziś, po książkach Lasserre'a, i innych badaczów romantyzmu i... bonapartyzmu, że Napoleon jednak w tem miał rację, że po swojemu „czuł pismo nosem“ i w udrapowanym, deklamującym a tak ślicznie o rodaczkach pani Walewskiej wyrażającym się poecie *„(une Eve innocente et tombée, ignorant tout, sachant tout, vierge et amante à la fois“)* widział raczej ot właśnie takiego „nietoperza politycznego“, o jakich mówi Libelt, „płaszcz moralności politycznej noszącego na dwóch ramionach“... Gdy się to, co Chateaubriand pisał o Bonapartem w r. 1840, te superlatywy i ekstazy patetyczne i dęte zestawi ze stosunkiem cesarza do Watykanu, do Papieża, do wiary katolickiej, do wszelkiej metafizyki wogóle, przychodzi się do przekonania, że i to Chrześcijaństwo u Chateaubrianda było „dogmatem“ bardzo względnym i koncepcją rozciągliwą i zbyt elastyczną. Pozornie wydaje się taka teza paradoksalną a może i epatującą, a jednak jest to zgodne z najrzeczywistszą rzeczywistością i z dzisiejszym stanem wiedzy o tych wszystkich ludziach, „wielkich człowiekach“ tej epoki... Tacy dystyngowanie umiarkowani i wstrzemięźliwi wrogowie uzurpatorów i „despotów“ są dla nich wymarzeni i najwygodniejsi. Bonaparte przepędzał na banicję biedną, słabą niewiastę, panią Staël, ale w spokoju zostawił i nie tknął Chateaubrianda, nawet gdy ten mu pisał, że „dopóki Napoleon szedł przeciw anarchji wewnętrznej i wrogom zewnętrznym zwyciężał; stracił moc skoro tylko wstąpił na drogę nieprawości; śmierć księcia d'Enghien stała się zarodem rozkładu w jego myśleniu i życiu“. Pozornie ten pocisk poety w bożyszcze był bardzo silny a w gruncie rzeczy szedł mimo, gdyż litując się nad książątkiem nie trafiał do Elity Napoleońskiej, wywodzącej się przeważnie z gminu, z pospólstwa, z szumowin, z tych „wzbogaconych rewolucjonistów“, którzy ku szczeremu tym razem oburzeniu Chateaubrianda „urządzali się w zdobytych pałacach na przedmieściu St. Germain“...

Praca prof. M. Zdziechowskiego o pisarzu wrogim największemu z impostorów jest interesującym dokumentem tej tragedji wewnętrznej, jaka dziś jest udziałem najprzedniejszych najczujniejszych, najodważniejszych, chcących pogodzić etykę Chrześcijańską, ludzką z tolerancją dla gwałtu, przemocy, brutalstwa, przewrotności, zakłamania, gry fałszywej, ciemięstwa, nepotyzmu i wampiryzmu. Tymczasem to się pogodzić nie da.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W t. zw. popularnie „Icku“ („Ilustr. Kurjer Codz.“) stoi wyraźnie, że kult „centralnej osoby“ zapożyczyliśmy z... Chin. Oto wedle hieroglifów chińskich: *Pi* = ten, który; *le* = miłuje swój naród i wszystkich ludzi; *suds* = budzi do życia uśpionych snem letargicznym; *se* = założy; *ki* = mocne podwaliny pod gmach, który wznosi. Gdy łaskawy czytelnik teraz złoży te wszystkie hieroglify, łacno pojmie, że rzeczywiście, jak zapewnia „Icek“, „każdy Chińczyk na dźwięk nazwiska: Piłsudski, zdejmuje kapelusz i kornie chyli głowę“. Czyż my się damy wyprzedzić, komu? Chińczykom?

*

Żydowska Agencja Telegraficzna podaje bardzo charakterystyczną depeszę z Wiednia, wskazującą, jak w chwili obecnej układają się stosunki między ludnością rdzenną a żydami w starych, wielkich ogniskach cywilizacji europejskiej:

> Wiedeń (Ż. A. T). Jom-Kipur minął w Wiedniu bez incydentów. Po dzielnicy żydowskiej oraz w pobliżu synagog i domów modlitwy krążyły patrole policyjne. Poza policją czuwały nad bezpieczeństwem ludności żydowskiej patrole samoobrony żydowskiej oraz b. żydowskich żołnierzy frontowych...“

U nas takiej „samoobrony żydowskiej“ niema, z dwóch mianowicie powodów. Po pierwsze, żydzi mają najpełniejsze zaufanie do policji, ochraniającej ich, jako żywioł „państwowotwórczy“ przed antypaństwowym „obwiepolem“, powtóre zaś: skąd wziąć „b. zydowskich żołnierzy frontowych“? To stanowczo byłaby liczba nazbyt znikoma — chyba raczej zorganizować potężną milicję z b. żołnierzy żydowskich, służących czasu wojny w intendenturze...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9 87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.